WINNICA



Nr. 2

2 zł

TREŚĆ NR. 2 „WINNICY“:

Ilustrują: T. AXENTOWICZ, FELIKS KOWARSKI JACEK MALCZEWSKI, LEON WYCZÓŁKOWSKI. — Okładkę projektował FELIKS KRASSOWSKI.

WINNICA

MIESIĘCZNIK ILUSTROWANY

POŚWIĘCONY KOBIECIE W ŻYCIU, SZTUCE I ANEGDOCIE

ZESZYT 2 ROK I

NAKŁADEM TOWARZYSTWA WYDAWNICZEGO „ATENEUM“

ODBITO W DRUKARNI L. S. T. W., LWÓW, UL. LEONA SAPIEHY 77.



JACEK MALCZEWSKI

W I N N I C A

„...Na Wyspie Błogosławionych jest cudowna winnica. Pień winnej latorośli, im bliżej ziemi tem jest grubszy i bardziej wyniosły, w górnej zaś jego części otwierają się zamiast gałęzi kształty kobiece, niezwykłej urody. Kobiety te są widoczne jedynie od pasa, jak Dafne, zamieniona w drzewo laurowe. Dalsze części ciała gubią się w zwojach gałązek i liści. Z końców ich palców wyrastają liście winogron. Nie mają włosów, lecz liście, gałązki i jagody. Gdy się ktoś zbliży, wyciągają ramiona, przemawiają wdzięcznem słowem i całują w usta przechodniów. Lecz pocałunki te są zdradliwe; oszałamiają, jak mocne wino. Owoców, które rosną na tych kwitnących kobietkach, zbierać się nie godzi. Gdy się zerwie choć jedno grono, słychać skargi i jęki żałosne. Snadź istoty te cierpią. Są one bardzo kochliwe i zapraszają do rozkoszy. Ale biada temu, kto usłucha ich kusicielskich podszeptów! Nic już nie uwolni go z tego uścisku. Zrośnięty z kobietą w miejscu, którego się każdy domyśli, trwa tak na wieczność całą i sam porasta winną latoroślą...“

LUKJANOS z SAMOSATY



Jak pani Ogińska została księżną Walji?

Napisał

STANISŁAW WASYLEWSKI

Pani Ogińska, jak pani Ogińska. Nie o nią chodzi tu głównie. Ostatecznie mogłaby się nazywać zgoła inaczej. Biografja jej i tak byłaby podobną do tysiąca innych pudrowanych żywotów w annałach epoki rococco.

A więc, że miała jednego męża, zaś na amantach i na pieniądzach nie zbywało jej jako żywo nigdy, że była brzydką, ale Lampi i Grassi poprawili dostatecznie naturę na portretach, że siedziała długo za granicą, kusząc cudzoziemców egzotyzmem sarmackim, sarmatów zaś cudzoziemską ogładą.

A później

Gdy znikł Paryż ulubiony
I miłosnych grotów blizny
Człowiek ze snu obudzony
Westchnął do lubej ojczyzny

i przawiózł jej w mufce czy w „necessaire“ jakieś szczególne *cadeau*.

I pani Ogińska wracając z Londynu do Zalesia na Litwie przywiozła je także w postaci swej miniatury malowanej przez arcymistrza Coswaya, a sztychowanej w szkole znakomitego wynalazcy angielskich sztychów punktowanych Bartolozzi'ego.



Podarunku pani Ogińskiej nie trzeba lekceważyć. Sztych punktowany, *gravure au pointillé, stpp.*, to legitymacja cywilizacji w wieku 18-tym. Każda nacja liczy z niepokojem, ilu też jej przedstawicieli punktowano na płytach szkołą Bartolozzi'ego w Londynie. Poloniców jest tam, zdaje mi się, wszystkiego trzy: Izabella Czartoryska przez Testoliniego, młodziutki Henryk Lubomirski przez Bartolozzi'ego, a wreszcie owa pani Ogińska z mężem — wszyscy wedle miniaturowych oryginałów znakomitego Ryszarda Coswaya (1740 — 1810).

Zdobycie portretu u mistrza angielskiej miniatury, oraz uzyskanie sztychu wedle przedziwnej w sekrecie chowanej metody „pointilizacji" — nie było wcale rzeczą łatwą dla cudzoziemki z jakichś dzikich krajów. Rzecz wymagała zarówno sporego worka dukatów, jak też i znakomitych poleceń wysokiego towarzystwa nad Tamizą.

O dukaty nie martwiła się zbytnio dama 18-tego wieku, miała ich poddostatkiem (dlatego nam ich dziś tak bardzo brakuje). Miała je więc i pani Ogińska w r. 1791, pozycję towarzyską zyskała dzięki swej istotnie niepospolitej inteligencji, (której świadectwo daje chociażby madame Chastenay w swych pamiętnikach), przedewszystkiem jednak dzięki stanowisku męża, podskarbiego Michała Kleofasa Ogińskiego, muzyka i polityka, autora pamiętników i poloneza, który w r. 1789 wysłany został jako poseł nadzwyczajny Rzeczypospolitej do Anglji i Holandji.

W r. 1793 uwiecznia Cosway w miniaturze czułą jeszcze ciągle parę małżonków, poczem Luigi Schiavonetti przenosi miniaturę na sztych *au pointillé*.

Przyjemny i słodki konterfekt miłości małżeńskiej budzi powszechne swem „rozkosznem ułożeniem" zachwyty.

Dziś jeszcze podziwia dzieło francuski historyk sztuki pisząc: *Elle reste un des portraits les plus attrayants du peintre des élégances de son temps.* Pominąwszy, naturalnie, jego dość nieznośną, cukierkową słodycz.

Minęły cztery lata tymczasem. Pani Ogińska powróciła do zabitej deskami Litwy, porzucona przez męża, który odesłał ją do domu i rozwiódł się, nie bacząc wcale na wieczysty związek, pobłogosławiony przez sztych i miniaturę.

W Londynie, gdzie słych o niej dawno zaginął — obchodzono w r. 1796. uroczyście zaślubiny księcia Walji syna Jerzego III z Karoliną ks. Brunświku. Uwikłany w nieskończoną ilość brzydkich afer finansowych i erotycznych

następca tronu zdecydował się ożenić dla uspokojenia opinji publicznej. Marjaż ten, przyjęty w Anglji z ulgą, jako przedwczesna i złudna obietnica poprawy delfina, uwieczniano na wszystkie sposoby. Wśród licznych portretów młodej pary pojawił się również sztych, wykonany przez ucznia Bartolozziego Michała Sloane.

I wtedy pani Ogińska została księżną Walji.

A jej mąż ks. podskarbi Michał Kleofas następcą tronu angielskiego.

Zapewne nie wiedzieli oboje o tem wysokiem odznaczeniu i my też nie wiemy w jaki sposób Michał Sloane ukradł w r. 1797 Ludwikowi Schiavonetti płytę, splagjował Coswaya i wyniósł do godności królewskiej panią podskarbinę z mężem.

Załączone reprodukcje unaoczniają całą metamorfozę.

Zasadnicza zmiana zaszła tylko w podpisach: „Michał i Izabella z Lasockich Ogińscy“ stali się teraz „Their royal Highness the Prince and Princess of Wales“.

Inne odmiany ograniczyły się tylko do pewnych kostjumowych konieczności. A więc: ucięto panu podskarbiemu niemodne angażanty u rękawów, zdjęto mu z piersi niemodną gwiazdę komandorską orderu Orła Białego, zastępując ją jakąś dekoracją angielską, zmieniono „talony“ u pantofelków, a wreszcie odwinięto klapy u fraka wedle mody roku 1796.

Drobne zmiany w modelacji twarzy i oprawie oka wystarczyły aby niedawny poseł Rzeczypospolitej stał się jak dwie krople wody podobnym do króla elegantów Europy i arcydandysa świata Jerzego IV-go. Jeszcze mniej przeróbek wymagała, o dziwo, jego towarzyszka. Pozostała prawie bez zmian z wyjątkiem odmiennego upięcia „*bandeletty*“ we włosach i małych poprawek w rysach.

Jakim cudem jednak na takim reprezentacyjnym sztychu mogła żona następny tronu wielkobrytańskiego wystąpić w tej samej toalecie, w której przed czterema laty figurowała pani podskarbina litewska z domu zaledwie Lasocka — tego już pojąć nie można!

Czy zaś te dwie pary były istotnie tak do siebie sobowtórnie podobne?

Można w to wątpić i raczej przypuszczać, że podobne do siebie były tylko — ich sztychy, albowiem t. z. *ressemblance* w 18 wieku ograniczała się najczęściej do akcesorjów zewnętrznych.


THEIR ROYAL HIGHNESSES

Enfin: nie stało się właściwie nic ważnego. Zaszedł tylko dość częsty w sztycharstwie plagiat płyty, o którym pani Ogińska zapewne nigdy się nie dowiedziała.

Rzecz jest jednak zabawna i znamienna dla tej całej plejady pań polskich 18 wieku, które tyle zamieszania czyniły po świecie.

Jedna z nich wystawiła w swoim warszawskim pałacu „Wesele Figara" o wiele wcześniej przed premierą w Paryżu.

Druga, wedle słów Marmontela, mówiła po francusku „lepiej niźli wszyscy razem wzięci członkowie Akademji".

Trzecia — zafundowała księstwu Walji portret małżeński swoim kosztem.





Napisał

GUILLAUME APOLLINAIRE

Okręt holenderski „Alkmaar“ wracał z Jawy naładowany korzeniami i innymi drogimi towarami.

Zarzucił kotwicę w Southampton i marynarzom pozwolono wylądować.

Jeden z nich, Hendrijk Wersteeg niósł na prawem ramieniu małpę, na lewem papugę, a w plecaku zwoje indyjskich tkanin, które, zarówno, jak zwierzęta, zamierzał sprzedać w mieście. Było to z początkiem wiosny i noc zapadała wcześnie. Hendrijk Wersteeg szedł szybkim krokiem mglistymi ulicami, zaledwie rozjaśnionymi światłem gazu. Marynarz myślał o swym rychłym powrocie do Amsterdamu, o matce niewidzianej trzy lata, o narzeczonej oczekującej go w Monikendam. Obliczał pieniądze, jakie uzyska za zwierzęta i materje i szukał kramu, w którym mógłby sprzedać te egzotyczne towary.

Na Above-Bar-Street zaczepił go jakiś przyzwoicie ubrany pan i zapytał, czy szuka kupca na papugę.

— Ten ptak przydałby mi się — powiedział. — Potrzebuję kogoś, kto by do mnie mówił, a komu nie musiałbym odpowiadać, mieszkam zaś sam.

Jak większość holenderskich marynarzy Hendrijk Wersteeg mówił po angielsku. Podał cenę odpowiadającą nabywcy.

— Proszę pójść za mną — powiedział nieznajomy. — Mieszkam dość daleko. Sami umieścicie papugę w klatce, którą mam w mieszkaniu. Wypakujecie materje, a może znajdę coś, co przypadnie mi do gustu.

Uszczęśliwiony zarobkiem Hendrijk Wersteeg szedł z gentlemanem i w nadzieji sprzedania mu małpy zachwalał ją, dowodząc, że należy do bardzo rzadkiej rasy, której osobniki najodporniejsze są na klimat angielski i najbardziej przywiązują się do swych panów.

Ale wkrótce Hendrijk Wersteeg przestał mówić. Daremnie tracił słowa, nieznajomy nie odpowiadał mu wcale, a nawet zdawał się go nie słuchać.

Szli dalej w milczeniu obok siebie. Tylko małpa z żalu po ojczystych lasach zwrotnikowych, przerażona mgłą, wydawała od czasu do czasu żałosny krzyk, podobny do kwilenia noworodka, a papuga trzepotała skrzydłami.

Po godzinnym marszu odezwał się nagle nieznajomy:

— Zbliżamy się do mego mieszkania.

Wyszli za miasto. Droga ciągnęła się wśród wielkich ogrodzonych parków, od czasu do czasu błyskały wśród drzew oświetlone okna willi i z oddali słychać było w pewnych odstępach ponury gwizd syreny na morzu.

Nieznajomy zatrzymał się przed jedną z krat, wyciągnął z kieszeni pęk kluczy i otworzył drzwi, które zaraz za Hendrijkiem zamknął.

Marynarzowi zrobiło się nieswojo, zaledwie rozróżniał w głębi ogrodu małą willę, dość okazałą, której spuszczone story nie przepuszczały jednak żadnego światła.

Milczący nieznajomy, wymarły dom, wszystko to przedstawiało się dość ponuro. Ale Hendrijk przypomniał sobie, że nieznajomy mieszkał sam.

— Najwidoczniej jakiś oryginał! — pomyślał, ponieważ zaś marynarz holenderski nie jest na tyle bogaty, by być zwabionym w celu obrabowania, zawstydził się swego chwilowego niepokoju.

* * *

— Jeżeli macie zapałki, poświećcie mi — powiedział nieznajomy, wkładając klucz w zamek.

Marynarz usłuchał, skoro zaś tylko znaleźli się wewnątrz domu, nieznajomy przyniósł lampę, która oświetliła odrazu gustownie umeblowany salon. Hendrijka Wersteega uspokoiło to zupełnie. Cieszył się nadzieją sprzedania dużej ilości materji swemu dziwacznemu towarzyszowi.

Nieznajomy, który wyszedł na chwilę z salonu, powrócił z klatką:

— Umieśćcie w niej waszą papugę — rzekł. — Sprawię jej grzędę, gdy się już oswoi i będzie mówiła co zechcę.

Zamknąwszy klatkę, w której trzepotał się ptak, poprosił marynarza, by wziął lampę i wszedł do sąsiedniego pokoju, gdzie, jak zapewniał, znajdował się stół, na którym można wygodnie rozłożyć materjały.

Hendrijk Wersteeg posłusznie przeszedł do wskazanego pokoju. W tej samej chwili jednak usłyszał za sobą zatrzaśnięcie drzwi i zgrzyt klucza w zamku. Był uwięziony.

Oniemiały postawił lampę na stole i chciał rzucić się ku drzwiom, by je wyważyć. Lecz powstrzymał go głos:

— Jeden krok, a umrzesz, marynarzu!

Podniósłszy głowę Hendrijk zobaczył w okienku, którego poprzednio nie zauważył skierowaną ku sobie lufę rewolweru. Przerażony zatrzymał się.

Walka była bezcelową. W tych okolicznościach nie mógł się posłużyć nożem, a nawet rewolwer byłby bezużyteczny. Nieznajomy, na którego łaskę był zdany, ukrywał się za framugą okienka, zza której śledził marynarza; wystawała stamtąd tylko jego ręka z wymierzonym rewolwerem.

— Słuchajcie mnie uważnie — powiedział nieznajomy — i bądźcie posłuszni. Przymusowa usługa, jaką mi oddacie zostanie wam wynagrodzoną. Musicie usłuchać mnie bez wahania, inaczej zabiję was, jak psa... Otwórzcie szufladę w stole. Znajdziecie tam sześciostrzałowy rewolwer, nabity pięcioma kulami... Weźcie go.

Marynarz holenderski nawpół nieprzytomnie wykonał rozkaz. Małpa na jego ramieniu drżała wydając okrzyki przerażenia. Nieznajomy dokończył:

— W głębi pokoju jest kotara. Rozsuńcie ją.

Rozsunąwszy kotarę Hendrijk zobaczył alkowę. Stamtąd, wyciągnięta na łóżku z skrępowanymi rękoma i nogami, z zakneblowanymi ustami, wzrokiem pełnym rozpaczy patrzyła nań kobieta.

— Rozwiążcie pęta tej kobiety i wyjmijcie jej knebel.

Gdy wykonał ten rozkaz, kobieta młodziutka i nieprawdopodobnej urody rzuciła się na kolana twarzą w stronę okienka, wołając:

— Harry, to podła zasadzka! Zwabiłeś mnie do tej willi, by mnie zamordować. Wynająłeś ją udając, że chcesz w niej spędzić pierwsze tygodnie naszego pogodzenia. Zdawało mi się, że cię przekonałam. Myślałam, że upe-

wniłeś się ostatecznie, że nigdy nie byłam winną!... Harry! Harry! Jestem niewinną!



— Nie wierzę ci — sucho odpowiedział nieznajomy.

— Harry, jestem niewinną! — powtórzyła młoda kobieta zdławionym głosem.

— To twe ostatnie słowa, starannie je sobie zapiszę. Będą mi je powtarzać przez całe życie... — głos nieznajomego lekko zadrżał, ale natychmiast odzyskał pewność: — Bo jeszcze cię kocham — dodał — gdybym cię mniej kochał, sambym cię zabił. Ale nie jestem w stanie tego uczynić, ponieważ cię kocham...

— A teraz, marynarzu, jeśli nie umieścisz kuli w głowie tej kobiety, nim doliczę do dziesięciu, padniesz martwy u jej stóp. Raz, dwa, trzy...

Nim nieznajomy zdołał doliczyć do czterech, Hendrijk oszalały strzelił do wciąż jeszcze klęczącej kobiety wpatrzonej w niego osłupiałym wzrokiem. Padła twarzą na ziemię. Kula trafiła ją w czoło. Jednocześnie z okienka u góry padł strzał trafiający marynarza w prawą skroń. Osunął się na stół. Małpa wydawała przenikliwe okrzyki przerażenia, usiłując się ukryć w fałdach jego bluzy.

* * *

Nazajutrz przechodnie, słysząc dziwne krzyki wydobywające się z willi przedmieścia Southampton, zawiadomili policję, która wkrótce przybyła, by wyważyć drzwi.

Znaleziono zwłoki młodej kobiety i marynarza.

Z bluzy marynarza wyskoczyła nagle małpa i rzuciła się do nosa policjantowi. Przestraszyła wszystkich do tego stopnia, że cofnęli się o kilka kroków i zanim odważyli się zbliżyć ponownie, położyli ją wprzód trupem kilkoma wystrzałami rewolwerowymi.

Sprawiedliwość wszczęła śledztwo. Wydawało się rzeczą jasną, że marynarz zabił kobietę, poczem popełnił samobójstwo. Niemniej jednak okoliczności tragedji pozostawały tajemniczymi. Identyczność obu trupów łatwo ustalono, zastanawiano się tylko w jaki sposób lady Finngal, żona *para* Anglji, znalazła się sama w odosobnionym podmiejskim domu z marynarzem przybyłym poprzedniego dnia do Southampton...

Właściciel willi nie mógł udzielić w tej sprawie żadnych informacji, mogących się przyczynić do jej wyświetlenia. Willa na ośm dni przed rozegraniem się w niej tragedji została wynajętą niejakiemu Collinsowi z Manchesteru, który jednak pozostał niewykrytym. Ów Collins nosił podobno okulary i miał długą, rudą brodę, która równie dobrze mogła być przyprawioną.

Lord przybył z Londynu z całym pośpiechem. Ubóstwiał swą żonę i przykro było patrzeć na jego boleść. Nie rozumiał w tej sprawie nic, równie jak wszyscy.

Po wypadku tym odsunął się od świata. Żyje w swym domu w Kensington bez żadnego towarzystwa, prócz niemego służącego i papugi powtarzającej bez ustanku:

— Harry, jest niewinną!

z francuskiego przełożył

BR. JASIEŃSKI





T. AXENTOWICZ AKT



PAUL VERLAINE

Muszle

Każda z muszli w grocie skalnej,
Gdzieśmy szli swych ciał spragnieni,
Ma ich kształt niepowtarzalny.

Jedna wzięła coś z czerwieni
Naszych lic, gdy strumień krwi w nie
Bijąc spala je i mieni,

Inna przypomina dziwnie
Bladość twą, gdy wpółomdlała
W mych ramionach zwisasz sztywnie,

Tamta jest, jak muszla biała
Twego ucha, ta — jak spiekła
Blizna w fałdach twego ciała.

Lecz jedna z nich mnie urzekła...

Przełożył

B. O.





L a i s

Napisał

JAN PARANDOWSKI

Urodziła się na płowej ziemi sycylijskiej, w obronnem miasteczku Hykkara. Niańka pokazywała jej łąkę, na której Persefona zbierała kwiaty... (Potem rozstąpiła się ziemia i dzieweczkę porwał bóg piekieł)... I Lais porwano. Podczas wojny razem z innymi jeńcami. Na Peloponezie sprzedano jako niewolnicę. Chodziła po wodę do studni, przy której beztroskie, jak ona, dziewczyny śmiały się, zanurzając wiadra. Spała w szopie niewolnic i we snach widywała Afrodytę. Bogini miała twarz ciemną i wróżyła jej przyszłość pełną miłości.

Działo się to w Koryncie, w mieście kupców, kurtyzan i żeglarzy, kochających kobiety. Ze wszystkich stron świata hetery ściągały do grodu fałszywego Syzyfa i w świątyni Afrodyty uczyły lub brały naukę zawiłej sztuki kochania. W obwodzie świątynnym żyło ponad tysiąc najpiękniejszych kobiet, które zwano *hierodulami* — świętemi niewolnicami. Pełniły one nietylko

dzieło rozkoszy, lecz i zaszczytną służbę bożą, jako pośredniczki między ludem Koryntu, a patronką miasta Afrodytą. Dzwoniły nad niemi spiżowe wiersze Pindara, który przed stu laty taką witał je odą:

„O dziewczęta życzliwe, służebnice boskiej Namowy w dumnym Koryncie! Przez wasze dłonie płyną żółte łzy świeżych kadzideł, a myśl wasza tak często ulata ku Afrodycie, niebieskiej matce Erosów! Za jej najwyższem pozwoleniem, w rozkosznych łożach waszych, o dzieci moje, zbieramy owoc waszego słodkiego lata i przez użyteczność swoją życie wasze jest piękne!"...

Lais, mijając świątynię, stojącą na górze, całowała kciuk prawej ręki na znak czci nabożnej. Z ogrodów Afrodyty słychać było śpiewanie, pomieszane z bursztynowym dźwiękiem frygijskich fletni.

Raz, gdy Lais z pełną amforą na głowie, wracała pod wieczór od studni, spotkał ją malarz Apelles. Piękna była. Wykupił ją od pana i zaprowadził na ucztę do swoich przyjaciół. Śmiali się, że zamiast rzetelnej kurtyzany przywiódł im niedoświadczoną dziewczynkę.

— Głupcy jesteście — rzekł. — Ja myślę o przyszłości. Pokażę ją wam za trzy lata.

Tak, wtedy było na co patrzeć. Jaśniejsza od wód Pireny, w której tyle razy zanurzała ciężką niewolniczą amforę, wydawała się Lais ziemskiem wcieleniem Pani Cypryjskiej. Artyści przychodzili do niej brać model jej piersi, a ci co ją znali bliżej, dwa małe dołki na pewnej rozkosznej części jej cudnego ciała, zwali „gniazdkami Erosów". Rozmowa z nią posiadała wielki urok, gdyż Lais była dowcipna i umiała w sposób najbardziej nieoczekiwany cytować mądre jamby Eurypidesa. Współzawodnicząc z Fryne, gromadziła dokoła siebie ciżbę kochanków. Apellesa, dobrego staruszka, wspominała zawsze z rozczuleniem. W sypialni wisiały jego najpiękniejsze obrazy.

Żyła wśród purpury i złota. Mieniąca się klejnotami czarodziejka koryncka była poszukiwana, albowiem każdy jej uśmiech kosztował drogo. Mówiono, że trudniej się do niej dostać, niż do satrapy perskiego. Demostenes nie mógł ją mieć nawet za dziesięć tysięcy drachm. Diogenes, filozof cyniczny, był jej kochankiem. Brudny, półnagi, dziki sycił się jej ciałem za darmo. Cieszyła się, że jej nie każe oddawać mu się na rynku, jakby tego mógł pragnąć z pogardy dla świata. Diogenes zatoczył swą beczkę pod próg jej pałacu i na drogich kobiercach Lais wyiskiwał wszy.

Wtedy właśnie zjechał do Koryntu przeciwnik Diogenesa, hedonista Arystyp. Ubierał się w purpurę i głowę stroił wieńcem. Zdaleka poznawało go się po zapachu mocnych olejków, któremi namaszczał wypieszczone ciało. Przychylność Lais opłacał bardzo drogo. Diogenes nie mógł go znosić. W końcu powiedział:

— Nareszcie powinieneś zostać cynikiem, Arystypie!

— Dlaczego?

— Bo jesteś kochankiem dziewki, którą każdy mieć może.

— Ach, tak! Czyż wydaje się tobie, Diogenesie, rzeczą dziwną, jeśli ktoś zamieszkuje dom, w którym inni przed nim mieszkali?

— Nie.

— A jechać na okręcie, który już tysiąc podróżników przed tobą przewiózł?

— Bynajmniej.

— Więc?...

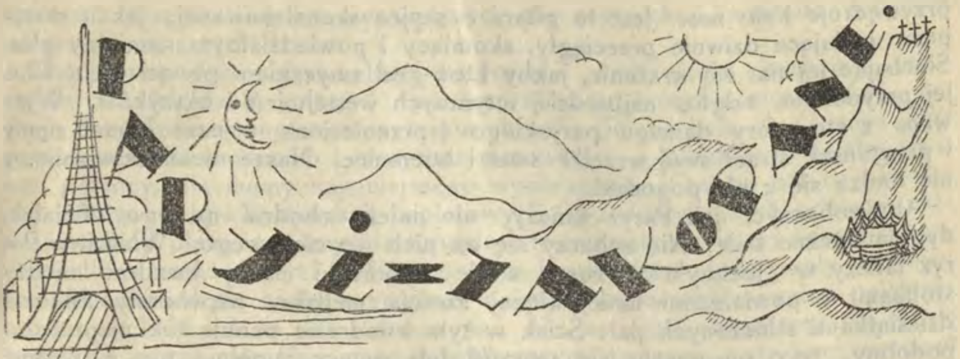
Ten dzień długo pamiętano w Koryncie. Ludzie ludziom opowiadali, że na własne oczy widzieli śmiejącego się Diogenesa.

Dotychczas przez pałac Lais przepływały dwa strumienie złota: jeden, który tam wbiegał, drugi co wartko stamtąd wyciekał. Ten pierwszy jął zwolna wysychać, tamten płynął z tem większą szybkością. Pewnego dnia Lais wyszła na ulicę, sama jedna nie mając nic więcej prócz szat na sobie i resztek piękności. Widząc, że brzydnie, złożyła swe lusterko w świątyni Afrodyty, aby uniknąć próżnych żalów i rozpaczy.

Błądziła po wąskich uliczkach portowych i koło grobowców przydrożnych czekała na gości. Włóczyła się po zatęchłych łaźniach i piwnicach, gdzie ukrywają się zbóje, sypiała na deszczu, w błocie, pod końmi najemnych woźniców. Po całych nocach piła bez miary ohydne wino w nadbrzeżnych szynkowniach. Za dnia kręciła się koło straganów i mówiono, że kradnie. Za parę oboli w cuchnących zaułkach oddawała swe pijane starcze uściski. Podobno zakochała się po raz pierwszy w życiu, mając lat sześćdziesiąt. Był to młody chłopiec, imieniem Hippolochos. Poszła za nim aż do Tesalji. Umarła, pełniąc czynności dziewki publicznej.

Nad brzegiem Penejosu pokazywano jej grób, na którym ktoś postawił urnę. Oplotła go późna legenda. Gdy w kilkaset lat potem przechodził tamtędy pewien wzruszony poeta, zdawało mu się, że z grobu jej wionie zapach szafranu i włosy jej wydają woń balsamiczną.





Napisał

AUGUST ZAMOYSKI

Dwie młode i wykwintnie ubrane panie wzięły mnie w krzyżowy ogień swych pytań:

— Powraca Pan dopiero co z Paryża, ze świata, niech nam pan opowie coś ze swych spostrzeżeń, takie krótkie *resumé* tego, co Pan zauważył i co Pana uderzyło: nowiny, plotki, fakta, jednem słowem, co robi dziś Paryż, jak się bawi, czem się cieszy, jak żyje?

Siedziałem zakrzyczany i ogłuszony. Rzecz działa się u Trzaski, orkiestra grała jakieś denerwujące hupa-hupa, nietaktowne, ciężkie, *made in germany*.. W próżni między stolikami kręciło się kilka par w rytmicznym, nieznośnym takcie.

— Paryż jest stanowczo pojęciem zbyt obszernem, niechaj Panie raczej wyznaczą mi w tem pojęciu pewien zakres, jakąś jedną określoną dziedzinę, a postaram się opowiedzieć wszystko, co o niej wiem, widziałem, lub słyszałem.

— Dobrze, niech więc nam pan opowie, jak dziś tańczą w Paryżu, — rzuciła po krótkim namyśle jedna z Pań.

— Tańczą dużo i zupełnie inaczej niż u nas: inny rytm, inne tempo, inne melodje. Jazz-band jest już przeżytkiem nieomal tak odległym, jak kultura jego rodziców murzynów: i jedno i drugie wyszło już z mody. Tron jego zajęła w sezonie obecnym gitara hawajska, za rok, dwa, przez Niemcy może

przywędruje i do nas. Jest to gitara o szyjce skonstruowanej, jak u skrzypiec, wydająca dziwnie przeciągły, skomlący i powiedziałbym namiętny głos. Słuchając jej ma się wrażenie, jakby ktoś grał smyczkiem po nerwach. Głos jej przypomina odgłos najbardziej intymnych westchnień i okrzyków. Wyrwana z atmosfery dancigu paryskiego i przeniesiona w nasz klimat zimny i purytański straci swój wszelki sens i tajemnicę. Nasze niemieckie shimmy nie dadzą się z nią pogodzić.

Aby zobaczyć, jak Paryż tańczy, nie należy chodzić na jego oficjalne, dyplomatyczne bale. Nie zobaczy się na nich nic ciekawego. Właściwy Paryż tańczy w „Jockey'u". Proszę sobie wyobrazić ciasny kwadrat między stolikami o powierzchni mniej więcej sześciu metrów, napełniony kilkoma dziesiątkami stłoczonych par. Ścisk w tym kwadracie panuje tak nieprawdopodobny, że o poruszaniu się wprzód lub wstecz zupełnie nie może być mowy. Jest to zresztą zupełnie zbyteczne. Taniec polega na szeregu ruchów wahadłowo trących do taktu muzyki. Cała ta stłoczona masa faluje i porusza się w jakimś jednym, coraz bardziej przyspieszonym rytmie. W pewnym momencie muzyka, dochodząc do zenitu, zwalnia, staje się przeciągłą, drgającą i ucicha zupełnie. Przysłonięte mgłą spojrzenia, zarumienione policzki, podkrążone oczy: masa drga w cichem, bezgłośnem upojeniu.

Tak wygląda taniec w „Jockey'u". Zaznaczam, że nie jest to bynajmniej najbardziej zmysłowe exterieur taneczne Paryża, bądź co bądź jeśli nie wszystkich, to przynajmniej mężczyzn obowiązują tam stroje ogólnie przyjęte. Mówię nie wszystkich, ponieważ są istoty uprzywiljowane, dla których normy te nie istnieją. Do nich należy słynna Kiki, patronka „Jockey'u". Kiki jest niezrównanym typem współczesnej subretki paryskiej. Tutaj zatarła się już wszelka pruderja. Cała skala jej pomysłowości polega na tem, jak być najbardziej rozebraną, nie będąc jednocześnie rozebraną do naga. Kiki nie uznaje *dessous*, ani pończoch, chodzi w pantofelkach na gołą nogę i w sukni na gołe ciało, przyczem każdy ruch ma na celu odsłonić tę suknię ze strony najbardziej intymnej, nie krępując się nawet zastarzałymi przesądami estetyki towarzyskiej. Na którymś z naszych dancingów Kiki byłaby nie do pomyślenia, uważanoby ją za obrażenie wszystkich możliwych uświęconych zasad moralności i niemoralności. W „Jockey'u" Kiki jest motywem, którego brak odczuwałoby się w całej orkiestrze wieczoru, czemś co nie obraża tu niczyich gustów. Przy wszystkich swoich, zupełnie nieprawdopodobnych towarzysko gestach i ekstrawagancjach Kiki jest typem bardzo pięknej paryżanki, chociaż ostatnio mocno znać już na niej ząb kokainy. Zasadniczo „Jockey" uważany jest za miejsce zabaw artystów, spotkać w nim jednak można sfery jaknajróżnorodniejsze. Nieraz wieczorem zatrzymuje się przed nim niejedno auto i wykwintnie ubrane towarzystwo z podniesionymi kołnierzami przeciska się do jednego ze stolików w rogu: to

którzyś z przedstawicieli t. zw. wyższych sfer przyjechali *incognito* zobaczyć jak bawią się artyści.

Nieprawdopodobna rozwiązłość erotyczna i „rozluźnienie obyczajów, zwiastujące schyłek danej kultury" (jak wyraziłby się któryś z moralistów), cechują Paryż powojenny w najwyższym stopniu. Słynne bale *de Quatres Arts* są widowiskami erotyzmu i eretyzmu masowego, o jakich my, biedni francuzi północy, nie mamy najmniejszego wyobrażenia. Ostatni bal *de Quartes Arts* odbywał się w kostjumach papierowych, przedstawiających odzienia różnych dzikich plemion. Oczywiście papiery te trzymały się mniej więcej do godziny 12 w nocy. Po tej godzinie zmięte i podeptane dekorowały podłogę, bal zaś odbywał się nadal w strojach najzupełniej zwrotnikowych i opisywać go, ze względu na to, że jedna z pań nie jest jest jeszcze mężatką — nie będę. O świcie cały tłum nago z tekturowymi tarczami i dzidami wyruszył grupami na miasto. Widząc tych nagich barbarów współczesności w szarem świetle paryskiego świtu pod łukiem tryumfalnym lub na bulwarach, uzbrojonych w teatralne tarcze i dzidy miało się rzeczywiście wrażenie najazdu hunnów na Paryż.

Nagość jest wogóle w Paryżu dzisiejszym ulubionym strojem. Jedne z najgłośniejszych balów „Bal Olimpijski", urządzany przez zrzeszonych artystów, odbywał się w kostjumach sportowych. Obowiązującym strojem były krótkie trykoty. Na wszystkich scenkach *varieté i music-hollów* nagość panuje niepodzielnie i tradycyjny listek figowy stał się już rzeczą niecenzuralną.

Jedynym fajerwerkiem na horyzoncie kabaretowym był niedługotrwały teatrzyk „*La cigale*", założony przez Etienna hr. de Bonmont dla swego intymnego przyjaciela Miasina. Brali w nim udział: Picasso, Braque, Marie Laurencin, Victor Hugo (wnuk wielkiego dziadka) i w. in. W rezultacie p. de Bonmont dołożył podobno do tej imprezy około miljona franków i teatrzyk przestał istnieć. Rzeczy tego rodzaju o dużym poziomie artystycznym nie mają w Paryżu powodzenia.

Życie kawiarniane w wielkim stylu powoli zanika. Słynne zagranicą: Rotonda, Dôme, Closerie de Lilas przepełnione są obcokrajowcami; artysty francuskiego nie widać w nich na lekarstwo. Urzędują w nich dziś wyłącznie hochstaplerzy i pijani amerykanie, wspominający z rozczuleniem panującą w ich ojczyźnie prohibicję. Nienawiść do obcokrajowców, t. zw. „meteków", zalewających cały Paryż, daje się odczuć na każdym kroku. „Metek" znaczy tu tyle, co w narzeczu góralskiem „ceper". Między innymi moda rosyjska, trzymająca dość długo Paryż w swej uwięzi, skończyła się zupełnie. Do baletu rosyjskiego dekoracje i muzykę robią dziś wyłącznie malarze i muzycy francuscy (za wyjątkiem jedynego Strawińskiego). Zresztą w balecie rosyjskim prawdziwych rosjan jest dziś bardzo mało: większość stanowią polacy, choć

trafiają się i angielki (np. Sokołowa), którym panujący doniedawna snobizm rosyjski kazał pozmieniać swe nazwiska na rosyjskie.

Teatr o poziomie niżej zera spełnia jedynie swe zadanie, jako giełda erotyczna. Pensje artystek są tak minimalne, że nie można brać je właściwie w rachubę. Kostjumy, oraz wszelkie koszta reprezentacji pokrywa uświęcony tradycją „przyjaciel". Większość kobiet, posiadających zamożnych przyjaciół, odpowiednie warunki i kostjumy, dopłaca za możność pokazania się na scenie, tej wielkiej trybunie licytacyjnej. Konkurencja pod tym względem jest wprost nieprawdopodobna. Naszym paniom, które nie mają wyobrażenia o rozmiarach tej konkurencji nie trudno być cnotliwymi.

Kiedy po paru miesiącach pobytu w Paryżu wraca się tu do nas, do krzykliwej Warszawy, lub do cichego Zakopanego i zaraz po przekroczeniu granicy bierze się kąpiel słodkiej, rozleniwiającej pruderji, uderza przedewszystkiem jeden fakt: jak łatwo, spokojnie i lekko królują u nas panie i jak wiele bezsennych nocy, rozmyślnych szaleństw i *faux pas* kosztuje królowanie paryżankę. I chce się powiedzieć naszym paniom, wyrywającym się z rodzimej klatki zagranicę: „Drogie, piękne, kochane, zostańcie tutaj, nie przywykłyście do wielkich startów, znarowicie się szybko, lub zwichniecie nogi w tym karkołomnym wyścigu, jak najbardziej rasowa klacz na nieznajomym terenie, a jeśli nawet potraficie przerobić się na paryżanki, zatracicie to, co jest w was naprawdę prostego i ładnego: spokojną królewskość panowania, zdobytą łatwo i bez walki.

Ale na mnie już czas, — zakończyłem spoglądając na zegarek. — Resztę opowiem Paniom innym razem. I cóż, długo pozostają Panie jeszcze w Zakopanem? A gdzież potem? Z powrotem do Warszawy?

O, nie, — powiedziała w zamyśleniu pierwsza Pani, patrząc gdzieś poza mnie dziwnym, rozmarzonym wzrokiem, — namówię męża i pojedziemy na wiosnę do Paryża. Nieprawdaż, Muszko?...





Napisał

PITIGRILLI

Była zawsze wierną mężowi, ponieważ niewierność powoduje kłopotliwe komplikacje niezawsze warte rozwikływania. Nigdy, jednak nie odrzucała miłości. Miłość odrzucają tylko te kobiety, które ona sama odepchnęła; postępują, jak autorzy dramatyczni, wygwizdywani na każdej premjerze, którzy mówią: pracuję dla sztuki, nie zależy mi na oklaskach...

Delikatny młodzieniec, któremu wystarczało golić swą różową twarz raz na ośm dni, zakochał się w niej tak, jak można kochać tylko w ośmnastym roku życia, gdy nie ma się jeszcze poczucia miary i proporcji. Ofiarował jej swą młodość, najlepszy dar po pieniądzach, jaki można ofiarować kobiecie. Może jego świeżość i niedoświadczenie byłyby zdołały ugiąć nieustępliwą kobietę, gdyby nie błagał tak słodko - nieśmiało i z łzawą uprzejmością. Kobieta wzbrania się zawsze przed tym, kto błaga w przeświadczeniu, że musi zasłużyć na to by ją posiąść, stać się jej godnym i robi wszystko, prócz jednej rzeczy, którą należało zrobić przedewszystkiem: wziąć ją.

Po kilku latach młodzieniec stał się starszym i mniej nieśmiałym i wrócił z większą odwagą zgłosić swą własną kandydaturę na jej kochanka; lecz nadaremnie. W oczach kobiety pozostajemy zawsze takimi, jakimi nas poznała. Liczy się jedynie pierwsze wrażenie, jakie wywieramy. Nie wystarcza być czasem zuchwałym, trzeba być nim zawsze. Nie zdobywa się kobiety, jeśli się nie zawładnęło nią od pierwszej chwili. Dzieje się tu tak, jak w pojedyn

kach na białą broń, w których błyskawicznie atakującemu wystarcza jeden cios. Jeśli za pierwszym razem próba mu się nie powiedzie, nie próbuje już więcej i z rezygnacją pozwala się pobić.

Drugi mężczyzna, który targnął się na jej nieskazitelność uczciwej i wiernej żony, posiadał wszystkie rekwizyta, zapewniające powodzenie. Między innymi tę dozę głupoty, konieczną, by mieć powodzenie u kobiet. Ale zawinił. Zawinił ciężko. Przyrzekł jej wieczną miłość.

W roku 1925 niema już kobiet, pożądających wiecznej miłości, nawet wśród kobiet, zamieszkałych stale w miastach o mniej niż 50.000 mieszkańców. Wieczna miłość z wszystkimi komplikacjami wierności, zazdrości *in spe* i zupełnej szczerości jest programem odstraszającym. Współczesnej kobiecie nie przyrzeka się miłości na długą metę, lecz awanturkę z szybkiem rozwiązaniem. Chcąc być pewnym powodzenia, po wyznaniu miłosnem i wzruszającej przemowie należy wyciągnąć wniosek:

„... poczem zostawię cię w spokoju, nie będę ci więcej przyczyniał zmartwień, będziemy dobrymi przyjaciółmi, jeśli zechcesz; jeśli zaś nie zechcesz, zrezygnuję nawet z tego i nigdy nie dam ci więcej o sobie znać...“

Tak mówił do niej malarz skandynawski Schfernzhk (wymawia się Schfernzhk).

Pomiędzy dniem, w którym kobiety zarzucają ci, że jesteś jeszcze za młodym, a tym w którym zarzucą ci, że jesteś już za starym — jest tylko chwila. Właśnie w takiej chwili swego życia znajdował się malarz Schfernzhk, w okresie starania się o względy pani, której nazwisko tu przemilczamy. W rzeczach tych nie jest się nigdy dość dyskretnym, nawet wówczas jeśli, jak w danym wypadku, pani nigdy nie istniała.

Pani X. była żoną profesora X., wykładającego językoznawstwo, członka kilku akademji i autora kilku kilogramów uczonych prac. Uczeni tego rodzaju są istotami pracującymi nad rozwikłaniem węzłów, których rozwiązanie nie interesuje nikogo; ludzie ci tracą czas i wzrok nad pergaminem, napisem lub tercyną, drukując tomy za tomami i nie posuwając tem ani na milimetr kultury, sztuki lub myśli. Są oni, jak ci starzy kawiarniani kelnerzy, którzy zrobili setki tysięcy kilometrów, choć nie przebiegli nawet 100 metrów w drodze świata.

Mąż, profesor, nie był człowiekiem zabawnym. Pięknym nie był również: miał odstające uszy, jak Mario Bonard, duży nos, pokaźny brzuch i krótkie nogi. Był jak odbicie człowieka normalnego w wypukłem lustrze, w którem

części środkowe i pierwszoplanowe wychodzą w nadmiernem powiększeniu. Nosił zawsze krawat koloru jaskrawo-żółtego. Złoty medal z podobizną przedostatniego, lub przed-przedostatniego papieża zwieszał mu się zawsze na brzuchu. Nie zdradzać takiego człowieka byłoby obrazą boską.

Profesor X. był brzydki i odrażający nietylko dlatego, że był profesorem i mężem, lecz dlatego, że takim był z natury. Pożytecznie bywa wyświetlać nieporozumienia. Przeciw profesorom i mężom nie mam żadnych uprzedzeń. Jednak...

Nie był również bardzo rozrzutnym w okazywaniu czułości żonie, podawał jej miłość systematycznie, po łyżeczce. A chociaż pani była raczej wszystkiem innem, niż pożeraczką mężczyzn, miłość ta w dawkach dla dzieci nie wystarczała jej.

Miłość jest określoną ilością nieważkiej, niewidzialnej materji, gromadzącej się w pewnych jednostkach przy spotkaniu z pewnymi innymi jednostkami odmiennej płci, a wyczerpującej się przez czas trwania znajomości. Skoro się raz wyczerpie, niema już możności powtórnego jej wskrzeszenia. Zmarła miłość już nie zmartwychwstanie, gdyby zaś zmartwychwstała, znaczyłoby to, że nie była miłością.

Profesor za młodu — i starzy profesorowie byli niegdyś młodzi — kochał młodą żonę, lecz teraz wyczerpał wszystkie zapasy miłości.

Natomiast zapas miłości jego żony był jeszcze zupełnie niewyczerpany i pewnego pięknego poranka uczuła ona potrzebę roztrwonienia go. Miłość i piękno są jak pieniądze, które nabierają wartości dopiero wówczas, gdy się je wydaje lub daje.

Malarz Schfernzhk przybył właśnie w chwili, w której pani X. obrzydł mąż i w której zdecydowała się roztrwonić wszystkie swe romantyczne bogactwa.

Przybyć w sam czas. Oto tajemnica. Sposobność czyni z uczciwego człowieka złodzieja, a z kobiety — zdobycz.

Los, ta mieszanina przypadkowych okoliczności, którą optymiści nazywają przeznaczeniem, a paralitycy wyrokiem Opatrzności, zbliżył panią X. i skandynawskiego malarza w jednym z tych salonów, w których rapsodzi głupoty mówią bzdury na temat literatury i sztuki, w salonach t. zw. intellektualnych.

Malarz nosił ubranie z jasnej, szarej wełny z szerokimi kieszeniami i wąziutkim paskiem i miał psa o pysku czarnym, długim i cienkim, jak browning, o szyji unieruchomionej wysoką obrożą, taką, jaką zawsze nosi Klementyna belgijska.

Pani ubrana była różowo i czarno, jak waza etruska, a duży wieniec antycznego różańca z kości słoniowej znaczył linję równika dookoła jej bioder.

Nogi — czyż trzeba nadmieniać? — obciągnięte miała jedwabnymi pończochami, jasnymi i przeźroczystymi, jak aluzja.

Pani chwali obrazy malarza, których nigdy nie widziała; malarz chwali panią, której urodę i elegancję podziwiał tysiąc razy, choć widzi ją tego dnia po raz pierwszy. Pani, za pozwoleniem gospodyni, częstuje herbatą z mlekiem i biszkoptami psa, który w trzydziestu sekundach „pokazał, co nasz język potrafi" (niepodobna niekiedy nie cytować wielkich poetów).

Wyczerpawszy temata malarz, pies i pani wyszli. W samochodzie pani mówiła, że mąż jej, profesor językoznawstwa, jest dla niej jednym z tych parasoli, których nie używa się wyłącznie od deszczu, ani też wyłącznie od słońca, a które francuzi nazywają *„en tout cas"*, bo przydają się jednakowo w czasie pogody i słoty, a w międzyczasie służą do podpierania się i odpędzania natrętnych uliczników, plączących się pod nogami.

Pomimo, jednak, iż uznawała, jak pożytecznym jest mąż — nie kochała go.

Oświadczyła malarzowi, że byłaby skłonną oddać mu swą przyjaźn. Gdy kobieta ofiaruje swą przyjaźń, to tak, jakby oddawała klucze swego sentymentalnego skarbca... Pies dyskretnie wychylił pysk przez okienko...

Profesor miał wrażenie, że nie jest idealnym kochankiem dla swej żony. Rozumiał, że nie miał prawa do jej miłości. Czuł się, jak podróżny, posiadający bilet trzeciej klasy, a jadący pierwszą, na brzeżku kanapy z wzrokiem utkwionym w korytarz, spodziewając się w każdej chwili upoważnionego pasażera, lub kontrolera, który go wyprosi na właściwe miejsce. Przeciwnie, dziwił się nawet, że udało mu się przeżyć spokojnie tak długi czas. Nie umiał jednak poskromić swej zazdrości.

— Mąż mój jest podejrzliwy, jak straż celna — mówiła nazajutrz w kawiarni willi Borghese piękna i elegancka pani do skandynawskiego malarza. — Jest zdolny szpiegować mnie, lub polecić mnie śledzić prywatnemu detektywowi. Czyż w domu, w którym pan mieszka, niema krawcowej, wróżbiarki lub manicurzystki? Jak można, gdy się jest młodym i interesującym, jak pan, mieszkać w domu, w którym niema nawet zlepiacza stłuczonych majolik?

— A gdybym mieszkał w odległej dzielnicy, prawie zupełnie bezpiecznej, przyszłaby pani?

— Nie mówię „nie“.
— Ale nie mówi też pani „tak“. Przyszłaby pani?
— Przyszłabym.
— Bardzo trudno obecnie znaleźć mieszkanie. Mój przyjaciel Toddio udał się dziś na policję po adres, nieszczęśliwca, który się wczoraj powiesił. — Ten był sam na świecie — myślał Toddio — zostawił zapewne wolne mieszkanie. — Lecz na policji dowiedział się, iż desperat powiesił się, ponieważ nie mógł znaleźć mieszkania.
— Zakochany przezwycięża wszystkie trudności.
— Nawet budowlane?
— Trzeba spróbować.
I malarz skandynawski próbował, ogłaszając w porannym dzienniku następujący inserat:

GARSONJERY ELEGANCKIEJ Z ŁAZIENKĄ, TUSZEM I ELEKTRYCZNEM OŚWIETLENIEM POSZUKUJE POWAŻNY MĘŻCZYZNA. ZGŁOSZENIA ADRESOWAĆ DO...

Trzy dni czekał nadaremnie. Inseraty w porannych dziennikach są bezskuteczne, myśląc że je wszyscy czytają, nie czyta ich nikt.

Przyjaciel wskazał mu adres. Pospieszył niezwłocznie. Dom był możliwy, gdyby nad wejściem nie było napisu: *Pax huic domui et omnibus habitantibus in ea.*

Jak można nakłonić do szaleństwa kobietę w domu opatrzonym takiem ponurem życzeniem?

Minęło wiele dni, a każdego dnia pani traciła trochę zaufania do sprytu młodego malarza. Zanim jednak zdołała stracić do niego zaufanie całkowicie, w codziennem jej życiu zaszedł niezwykły wypadek: profesor otrzymał anonimową wiadomość telefoniczną (listy anonimowe należą już dzisiaj do praehistorji denuncjacji) w złej włoszczyźnie z cudzoziemskim akcentem.

Następnego popołudnia malarz skandynawski, wtulony w miękką otomanę sypialni pani X. wyciągał wonnego papierosa z dużej kryształowej szkatułki

napełnionej blond „*Gold Flake'ami*“ i delikatnymi „*Kalinikami*“, pani zaś uśmiechała się, przyjemnie zdziwiona odwagą i dziwnym pomysłem północnego malarza.

Pokój utrzymany był w stylu wahającym się między Ludwikiem XVI, a Empirem. Na jednakich oparciach łóżek dwie pary rzeźbionych gołąbków całowały się z rozpaczy, jakby żałując, że nie otrzymały posad gołębi pocztowych w Ministerstwie Poczt.

Pani miała oczy szafirowe, jak płomień punchu, po raz pierwszy malarz miał sposobność obserwować ją sam na sam.

Co zaszło w tym domu później — niewiadomo. Prawdopodobnie wbito to, co Saint-Beuve nazywa złotym gwoździem przyjaźni. Możliwe jednak, że nie zaszło nic. Pani była sentymentalną, jak flaszka wody mineralnej, choć zdradzała oznaki trującego likieru.

Jest tylko rzeczą pewną, że pomiędzy godziną piątą, a siódmą, właśnie w czasie, w którym malarz przebywał w sypialni pani X., profesor językoznawstwa, członek i korespondent rozmaitych akademji, uzbrojony w żółty piorunujący krawat, kręcił się niespokojny i wzburzony po bezludnej i odległej ulicy Porta del Popolo, by zaskoczyć żonę uciekającą lub wchodzącą w jakąś podejrzaną bramę, jak mu to zainsynuowała dziwna anonimowa wiadomość telefoniczna.

Przekład z włoskiego

M. J.





FELIKS KRASSOWSKI PIERROT

Intermezzo

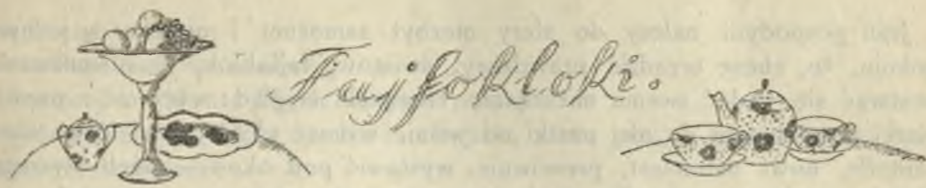
Ballada o jednym powieszonym

Nie całowałaś mnie w usta,
Gdy wzrok mój płytczał i ślepł!
Pętla ślizka, okrągła i tłusta,
Jak twoje ręce objęła mi szyję
Przez łeb.
Nie krzyczałem matki,
Nie wołałem dzieci —
Szeptałem twoje imię w ostatniej bezsile —
Twoje imię, jak robak na mych ustach tyje.
Może teraz zgniję
Prędzej.
Obsiadły mnie złe różnokolorowe chwile,
Jak duże muchy
I żadna już ze mnie nigdy nie odleci.
Nie kąsał cię strach obłąkany i suchy,
Jak febra —
Nie tłukło ci się serce w ślepem bezhołowiu
O żebra —
Nie patrzałaś z podartym tchem,
Jak mi skurcz straszny rozchylał kolana —
Ale ja wiem,
Że jutro, o nowiu,
Kiedy noc będzie miała rozwarte najszerzej źrenice,
Przybiegniesz zdyszana
Pod moją szubienicę.

Noc będzie mojem ciałem nabrzękła i tłusta,
Wiatrem ssać będą śmierć moją czarne gąbki chmur.
A nie przybiegniesz na ugór daleki,
By mnie ostatni raz całować w usta,
Ani by przymknąć mi sine powieki,
Ani rozewrzeć skurczem zaciśnięte pięście,
Ani, by mi do rana
Rękami nagiemi
Dół grzebać w ziemi
I nad nim swojem ciałem wygnieść krzyża wzór —
Ale przybiegniesz, zdyszana
Po mój sznur!
Na szczęście!!

MARJAN HEMAR





Napisała

TEFFI

Recepta dla urządzających fajfokloki jest następująca:

1 kiło makaroników.

Za 5 franków keksu.

Za 10 jakiegoś świństwa.

1 kilo cukierków.

1 cytryna.

Wszystko to kraje się w plasterki i rozkłada na talerzykach w formie gwiazd lub jakichś figur geometrycznych — równoległoboków, kwadratów i kół.

Robi się to poto, by od pierwszej chwili uderzyć wyobraźnię widza, aby ten odrazu przycichł i zrozumiał, że trafił nie tak sobie gdzieniebądź, lecz do domu, w którym lubią piękno i cenią sztukę. Piękno, to, jak wiadomo, straszna siła i ułożona spiralnie baba (mam na myśli oczywiście ciasto, nie kobietę) wywiera o wiele silniejsze i głębsze wrażenie, niż poprostu pokruszona w krzywe plastry. Można również kupić jeszcze orzechów. Należy je jednak traktować raczej, jako element dekoracyjny i dziadka do nich nie kłaść. Jeśli pozwolić je jeść, będzie z nich tylko trzask i śmiecie. A tak, bez dziadka, jeżeli nawet jakiemuś gościowi przyjdzie ochota wziąć, to daleko nie zajedzie: pokręci w palcach, liźnie i wsunie pocichutku pod popielniczkę.

Jeżeli trafi się gość uparty i zadzierzysty, to należy mu dać do zrozumienia, że się jego sztuczki zauważyło i nie pochwala: bierzesz niby dobytek, jeść nie jesz, tylko zwodzisz. Wskutek tego gość robi się skromniejszy i niekiedy zaczyna nawet mówić komplementy.

Jeśli gospodyni należy do sfery niezbyt zamożnej i mieszka w jednym pokoju, to, chcąc urządzić prawdziwy, światowy fajfoklok, musi koniecznie postarać się nadać swemu mieszkaniu elegancki wygląd: wyrzucić z popielniczki przyschnięte do niej pestki od wiśni, wsunąć głębiej pod łóżko stare pantofle, nowe natomiast, przeciwnie, wystawić pod okno — niech błyszczą. Miednicę można przykryć niedbale rozwiniętym japońskim wachlarzem.

Jednem słowem niekiedy najdrobniejszymi wysiłkami można osiągnąć wstrząsające efekta.

Między innymi — jeżeli w mieszkaniu znajduje się krzesło z odpadającą nogą — nie należy się go wstydzić i chować. Przyda się ono w odpowiedniej chwili: jeśli przyjdzie w odwiedziny jakiś bardzo chełpliwy gość, wzgardzi pani keksem i spyta, czy ma pani przy swym pokoju *salle de bain* — należy go niezwłocznie posadzić na tem krześle. Gość straci momentalnie równowagę, wierzgnie nogą i postara się wszystko obrócić w żart. A pani niechaj uśmiechnie się „z dużą rezerwą“ i powie:

— Ach, drobiazg, nie warto zwracać na to uwagi. Meble tutejsze chociaż drogie, ale bardzo nietrwałe.

Wtedy gość pomyśli, że sam złamał krzesło i bardzo się zmiesza. Od tej chwili można go już brać z której się strony zechce.

Rozmowy na fajfoklokach należy prowadzić na temata najbardziej światowe, bynajmniej zaś nie o tem, co panią w danej chwili najbardziej interesuje.

Przypuśćmy, że dusza pani zaabsorbowana jest tem, że dziś rano szewc zdarł z pani 15 franków za nową podeszew. Bez względu na to do jakiego stopnia byłaby pani opanowaną tymi wzruszeniami, mówić o nich nie należy, ponieważ wszyscy udadzą, że taki drobiazg nigdy ich nie zajmował i nawet nie odrazu zrozumieją, *que ce que c'est* właściwie podeszew?

Należy mówić o operze, o tualetach. Ale nie koniecznie należy mówić prawdę:

— Do opery nie chodzę — nie mam za co.

Albo:

— Dziś rano patrzę — ach! — na nowej pończosze dziurka!

Wszystko to nie to. Należy przedewszystkiem wytrzymywać ton.

— Francuzi nie rozumieją nawet Czajkowskiego, jakże wymagać od nich aby przetworzyli (koniecznie należy powiedzieć „przetworzyli“, kategorycznie przy tem obstaję) Skrjabina?

Lub tak:

— Paquin się powtarza!

I więcej ani słowa. Niech wszyscy pękną.

Jeżeli rozmowa toczy się bardzo ospale, może pani ją łatwo ożywić, rzucając odniechcenia:

— Widziałem wczoraj w kościele panią Annę. Co za piękność!

Efekt nie każe na siebie czekać.

— Pani Anna piękną? No, wie pani!...

— Pani Anna to monstrum!

— Ubiera się nieźle, ale sama jest okropna!

— Ubrana jest zawsze potwornie! Nie wyobrażam sobie nawet, gdzie ona zamawia te wszystkie okropności. Ratuje ją znośna twarz.

— Twarz?! Nos ma, jak mrówkojad! Figura ją jedynie ratuje.

— Garbata... Jeden bok...

— Ma trzy nogi...

— Raczej figurę ma znośną, niż twarz.

— Charakter ma znośny nie figurę.

— Nieszczęsny mąż! Żona sprzedaje się podobno na prawo i na lewo.

— Kobieta będzie miała już z sześćdziesiątkę i zawsze za nią sznur smarkaterji.

— Najwidoczniej rozumna kobieta. Jeżeli ma sześćdziesiątkę i w dodatku jest potworem i ubiera się strasznie, więc za cóż jej płacą?

— Pani Anna mądra? No, to już pani daruje! Głupia, jak stołowe nogi.

— Wiele im tam potrzeba! Byle ładny pyszczek!

— I byle nieźle ubrana!

— Więc znaczy się jednak jest ładna?

— Zupełna czapla, tylko kusa... Krzywa...

— No, widzi pani, a pani mówi, że się sprzedaje!

— Sama wszystkim płaci.

— Więc cóż, najwidoczniej bardzo bogata?

— Złamanego szeląga nie ma. Sama podarowałam jej stary kapelusz.

— Więc jakże w takim razie? Czemże płaci?

— Ach, jaka pani naiwna! Niech pani wierzy, na to zawsze się znajdzie.

— A wygląda nie więcej jak na trzydziestkę.

— Ach, jaka pani naiwna! Wygląda na całą ośmdziesiątkę!

To rozmowa specjalnie damska.

Dla podniecenia męskich namiętności należy rzucić odniechcenia:

— Ciekawe jest jedynie zdanie większości. Powinniśmy się wogóle połączyć, rozłączyć lub odłączyć.

Dalej pójdzie już samo.

W ogólności rozmowy te, jeśli ich nie przerywać, mogą ciągnąć się trzy lub cztery godziny.

Jeśli jednak zachce się pani jeść, to może pani momentalnie zgasić entuzjazm tłumu i elokwencję mówców, jednem prostem zdaniem, wymówionem półgłosem:

— Ach byłabym zapomniała! Proszono mnie o sprzedanie 30 biletów na loterję dobroczynną. Gdzież ja je zarzuciłam... trzeba poszukać.

W przeciągu półtorej minuty pokój pani opustoszeje.

Niedopałki, papierki z cukierków, popielaty dym, ogryzki herbatników — smętne szczątki, kłaki byłego fajfokloku, smętne fajfokłaki...

Ostatnie krzyki na schodach:

— Proszę o nas nie zapominać!

— Niech pani zadzwoni!

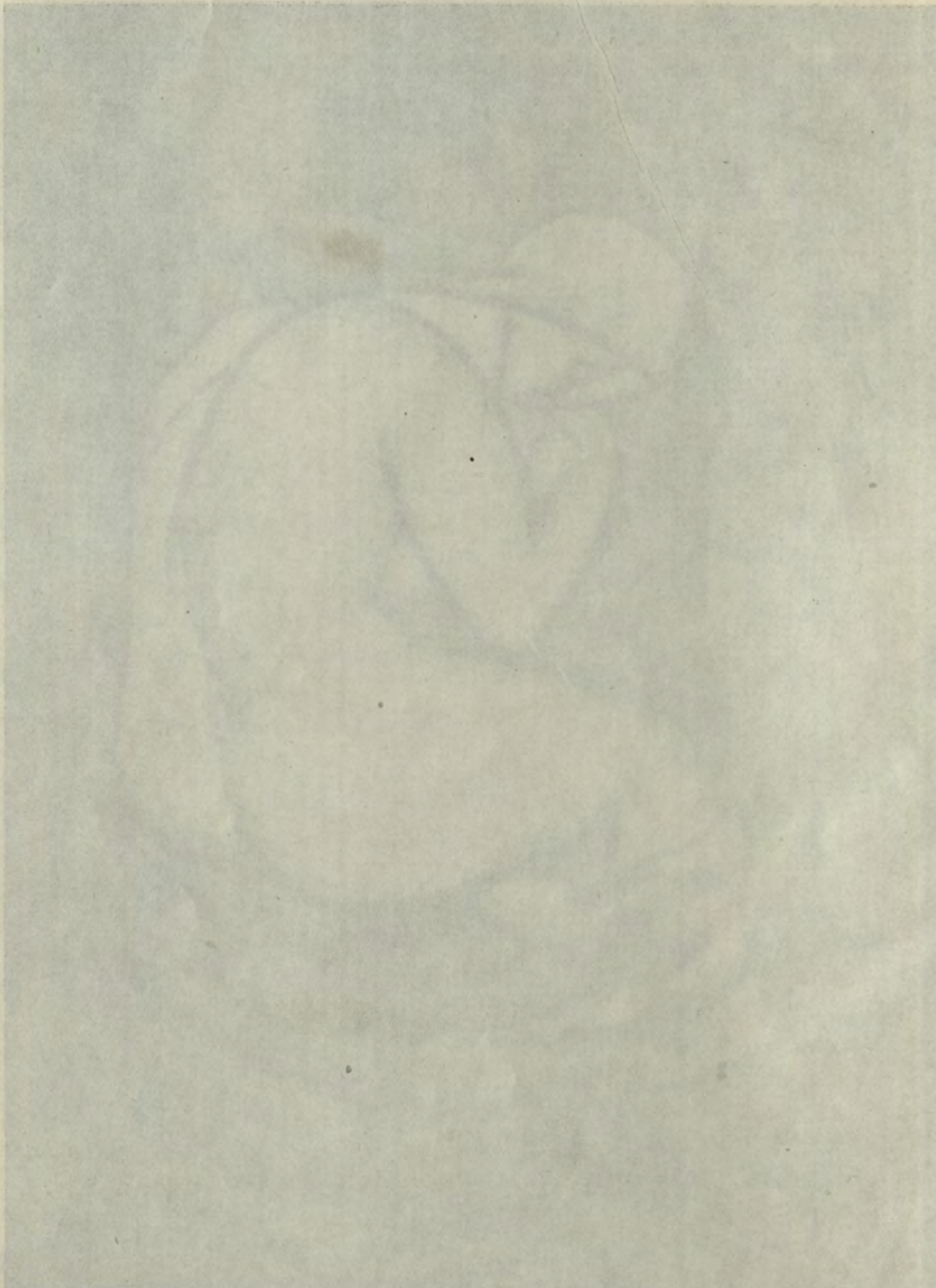
— Szszsz... nie krzyczcie na schodach!

przełożył

M. K—ski.







CZTERY

Napisał

ANATOL KAMIEŃSKI

I.

Porucznik gwardji Nagórski, barczysty, krótko ostrzyżony, z różowymi skrońmi i puszystym blond wąsikiem, cały opanowany był radosnem poczuciem własnego ciała, świeżej bielizny, dobrze skrojonego munduru i wykwintnych lakierów. Dumnym, tanecznym krokiem szedł słoneczną stroną Newskiego Prospektu, melodyjnie, do taktu dzwonił ostrogami i w jego niebieskich, hardych oczach grał ten sam taneczny, rozkochany w sobie blask. Dlatego, że otrzymał trzytygodniowy urlop, że na dworze panowała lubieżna, słoneczna wiosna, że porucznik był młody i zdrowy, chciało mu się zaśpiewać głośno jakąś ulubioną piosenkę, znieważyć pierwszego nieznajomego studenta i powiedzieć jakiś bezczelny, ryzykowny komplement pierwszej napotkanej pięknej damie.

Do odejścia pociągu pośpiesznego pozostawało jeszcze całe dwie godziny, ordynans z bagażem i biletem czekał na dworcu i nic nie mogło przeszkodzić Nagórskiemu przespacerować się jeszcze i kupić przy tej okazji siostrze, do której jechał do Saratowa, duże pudło czekoladek.

Słońce, skropiony wodą bruk, spuszczone płócienne markizy, lśniące cylindry, jaskrawe parasolki nadawały nieskończonej ulicy wygląd świąteczny i strojny, kiedy zaś Nagórski przechodził koło kwiaciarni, płynący stamtąd

zapach konwalji i bzu wywołał w nim dlaczegoś naiwny obraz kobiecy i serce jego ściskało się przeczuciem nieznanej rozkoszy. I sama przyszłość wydawała się porucznikowi łańcuchem rozkosznie-ostrych chwil, na myśl o których rozdymały się jego nozdrza, naprężały mięśnie i nawet w końcach palców rąk i nóg budziło się jakieś przeciągłe, słodkie uczucie. I pomimo wyraźnie odczuwanej świeżości bielizny, elastycznej pieszczotliwości rajtuzów i munduru, czuł się cały oddzielonym od swego ubrania, jakgdyby stąpał po ulicy nago. Ale uczucie to nie wprawiało go bynajmniej w zakłopotanie i porucznik gotów był w myśli modlić się do swego ciała, uważał je za swój najdrogocenniejszy skarb, napotykane zaś kobiety wydawały mu się również nagimi, pokornymi i bezsilnymi wobec niego.

Po trzech schodkach wszedł Nagórski do cukierni. Panował tam chłód, pachniało konfiturami i czekoladą i męcząco pstrzyły się gablotki z bonbonierkami i porcelanowymi zwierzętami. Stosy cukierków na szklanych kloszach, wazy napełnione przeźroczystymi, różnokolorowymi karmelkami, ogromne czekoladowe zabawki — jeźdźcy, niedźwiedzie i wieże, — wszystko to było jakieś nadnaturalne, baśniowe i czyniło powietrze w cukierni ckliwo-słodkiem, a twarze panien sklepowych nierzeczywistymi, lalkowatymi, jakby posypanymi pudrem cukrowym.

Kupujących było niewielu i z grupy bezczynnych panien oddzieliła się na spotkanie oficera najładniejsza i najmłodsza. Twarz jej, tak samo, jak i innych była cukrzano-biała, a wargi zdawały się być lepkie, jakby dopiero co próbowały gorącego malinowego syropu. Białe maleńskie rączki tonęły koniuszkami palców w dwuch maleńkich kieszonkach niebieskiego fartuszka, a rozstawione łokcie nadawały dziewczynie wygląd dziecinnie-kokieteryjny. Nawet głos jej był jakiś nierzeczywisty, słodki i lalkowaty:

— Co pan sobie życzy, m-sieur?

Nagórski spojrzał na panienkę szczególnie wymownym wzrokiem i rzekł oślepiony śmiałą myślą, która nagle przyszła mu do głowy:

— Bardzo wiele, znacznie więcej niż panienka przypuszcza.,. Ale na początek pięć funtów czekoladek po 2 ruble.

— W bonbonierkę, czy w pudełko? — przeciągłym, obojętnym tonem spytała dziewczyna, robiąc ruch w kierunku gablotki i patrząc na oficera przez ramię niewinnymi oczyma lalki.

— Lepiej w pudełko — postępując za nią powiedział Nagórski, — tylko niech pani będzie łaskawa dobrze zapakować: zabieram je w drogę, wprost stąd na dworzec.

I rzuciwszy okiem na zegarek dodał spojrzeniem:

„Jaka szkoda! jakaś ty prześliczna! gdyby nie to, że muszę wyjechać zabrałbym cię...“

Sprzedająca uśmiechnęła się jednym kącikiem warg, pochyliła zlekka głowę i odpowiedziała również wzrokiem:

„Tak, gdybyś nie wyjeżdżał, to kto wie...“

Napełniała pudełko, przechodząc od gablotki do gablotki i nabierając czekoladki dwoma białymi cukrzanymi paluszkami. Odwróciwszy się do oficera rzuciła niedbale:

— Proszę, może pan co zje, m-sieur.

I pomimo tego niedbałego, wyuczonego tonu, Nagórski znów usłyszał w jej słowach:

„Bardzo mi cię podobasz i nie trzebaby zbytniego zachodu i wysiłków...“

Wówczas podszedł do niej ze słowami:

— Niech pani będzie łaskawą nie kłaść czekolady z orzechami.

I nachyliwszy się razem z nią nad jednym z kloszów spytał szybko:

— O której godzinie jest pani wolna?

— Nie powiem.

Porucznik pochwycił jej swawolny wzrok, wpił się weń swem spojrzeniem, wymownie i pieszczotliwie zadzwonił ostrogami i nagle rozchyliwszy usta zrobił senne, zamierające oczy, jakby miał zamiar stracić przytomność.

— Dlaczego? dlaczego? — powtórzył dwukrotnie sztucznie głuchym i namiętnym szeptem i wskazując pannie jeden z gatunków czekoladek, ruchem błyskawicznym i płomiennym prześlizgnął ręką po jej palcach.

— Pana to nie interesuje! pan wyjeżdża. — powiedziała, rumieniąc się.

— Dla pani, kto wie, może zostanę — z szarmanckim, operetkowym gestem odparł porucznik.

— Dajmy na to, — powiedziała i zaśmiała się, poczem wyszła do sąsiedniego pokoju wgłąb magazynu, gdzie na żelaznych blachach i w okrągłych drewnianych formach rozłożone były kandyzowane owoce i kasztany.



— Niech pani się nie śpieszy z napełnianiem pudełka — znacząco i dobitnie wymówił Nagórski idąc wślad za nią.

W pokoju tym panował jeszcze gęstszy zapach konfitur i czekolady i było znacznie ciemniej niż w pierwszym. I w mleczno-białym półmroku, jaki płynął z kwadratowych, zamalowanych kredową farbą szyb, biała twarzyczka panny z jaskrawymi, odcinającymi się wargami wydała się porucznikowi niesłychanie ponętną, stworzoną dla pocałunków.

— Niech pan jedzie jutro, — powiedziała, jakby niechcący.

Porucznik znów spojrzał na zegazek, nachylił się nad głową dziewczyny, wetchnął cukierkowo-słodki zapach włosów i rzekł:

— Niech pani uwolni się zaraz, a ja pojadę wieczorem, dobrze?

— Niemożna, — odpowiedziała poważnie. — Wolna jestem dopiero po dziewiątej... Zapakuję panu więcej ananasów, — dokończyła, uśmiechając się i jakby go drażniąc.

Nagórski stał z zegarkiem w ręku, widział, że wskazówka zbliża się do drugiej, a pudło z czekoladkami napełniło się już po brzegi i nagle króciutka warjacka myśl strzeliła mu do głowy. I uczuł, że w tej jednej lub dwuch minutach będzie ostrożny, śmiały i przezorny, jak młody zwierz i wszystko stanie się, jak chce, i nic nie stanie mu na przeszkodzie i kobieta nie będzie w stanie mu się oprzeć.

Wtedy podszedł do panny zupełnie blisko, zawładnął jej wzrokiem, starając się zapalić w nim pożądanie, wesołość i beztroskę i śmiejąc się wskazał jej wpółotwarte boczne dzrwi do zupełnie ciemnego, maleńkiego pokoiku, przypominającego komórkę. Widać było stamtąd róg drewnianej paki z wystającym z niej papierem i słomą, jakieś pudełka i szczelnie nabite szare worki.

— Słodka, maleńka, niczego się nie bać... — szeptał błyskając białymi zębami i oddychając jej gorąco w twarz: — Zaufaj, zaufaj, zaufaj...

I jasne, lalkowate oczy roześmiały się, zgasły, znów się roześmiały, potem z wielkich stały się maleńkie i przenikliwe, uważnie ogarnęły pokój i boczne

wpółotwarte drzwi, w jednej chwili zważyły wszystko, rozstrzygnęły i nagle stały się ufne i pokorne..



Do cukierni co chwila wpadały pośpieszne, roześmiane dzwonki rowerów i tramwajów i jękliwe odgłosy ulicy, wchodzili i wychodzili kupujący, lecz do pokoju z kandyzowanymi owocami i kasztanami nie zaglądał nikt przez całą minutę. Pięciofuntowe pudło czekoladek napełnione po brzegi i letnia czapka oficerska osierocone nudziły się obok siebie.

II.

Na dworcu wszystko roiło się, huczało, poruszało w różne strony i w oczach każdego pasażera wyczytać było można skrytą myśl, że jemu bardziej potrzeba wyjechać niż pozostałym. Dlatego zgiełk wydawał się zbyt gorączkowym, udanym, a otaczające przedmioty — kioski asekuracyjne, ławki, spiętrzone na podłodze kosze i walizy, stoliki w bufecie i nawet same wagony pociągu na peronie — dziwnie nieruchomymi, jakby wrośniętymi w ziemię.

Pomimo ścisku porucznik szedł naprzód zupełnie prosto, nikomu nie ustępował z drogi, mrużył pogardliwie oczy, a piękne kobiety obrzucał od stóp do głów otwartem, lecz chłodnem spojrzeniem. Świetnie skrojony mundur, wcięty w talji i szeroki w ramionach, czapka odsunięta na tył głowy i szabla niedbale podtrzymywana ręką nadawały mu wygląd tak niedostępny, że tragarze wlokący ciężkie walizy, dobrowolnie, bez najmniejszej niechęci usuwali mu się z drogi.

Na rozkaz Nagórskiego ordynans zajął mu miejsce w wagonie dla niepalących. Ponieważ oficer wiedział, że w tych wagonach jeździ więcej kobiet, więcej więc szans na jakąś interesującą przygodę lub znajomość, umyślnie nie kupił miejsca w wagonie sypialnym. Zostawiwszy ordynansa, by pilnował rzeczy, Nagórski zapalił papierosa i zwykłym tanecznym krokiem udał się do bufetu. Po zjedzeniu śniadania i wypiciu szklanki wina przypomniał sobie nagle o zajściu w cukierni, mimowoli z odległości zdziwił się własną odwagą i cała przygoda wydała mu się nieprawdopodobną i zabawną, jak anekdota. Przypomniała mu się biała, pachnąca czekoladą i pudrem twarz panny, jej



gorące i nieprawdopodobnie słodkie usta i mnóstwo innych szczegółów, o których tak wesoło będzie opowiadać po powrocie do pułku. Potem porucznik wyobraził sobie drogę i cały szereg niewiadowych, ponętnych przygód w wagonach i na statku i zaczęło mu się wydawać, że niema ani jednej kobiety, której nie mógłby posiąść szybko, pomysłowo i niesłychanie śmiało.

I powracając do swego wagonu, znów, jak dwie godziny temu, uczuł się oddzielonym od swego ubrania, jakby stąpał po peronie zupełnie nago.

Pociąg ruszył. W wagonie od strony słonecznej spuszczone były sztory i panował gorący czerwonawy półmrok, w którym pływały złote pyłki i sennie brzęczały muchy. Pasiaste pokrowce na siedzeniach i oparciach kanap były chłodne, jak świeżo rozesłane prześcieradła, sprężyny uginały się zbyt elastycznie i miękko i wszystko to razem sprawiało wrażenie, jakby nieznajomi mężczyźni i kobiety umówili się spędzić cały dzień w zacisznej wspólnej sypialni. Nie wierzyło się jakoś, że gdzieś z boku biegną odcinajęce się wyraźnie drzewa, domki, polany i nikomu nie chciało się patrzeć przez okno.

Na kanapie naprzeciw Nagórskiego siedział młody prawosławny duchowny i dama, z rozmowy zaś, jaką półgłosem prowadzili między sobą, można było wywnioskować, że to mąż i żona, którzy niedawno się pobrali i droga gdzieś w okolice Moskwy do wyznaczonej pasterzowi parafji zbiegła się najwidoczniej z ich podróżą poślubną.

Pop miał pociągłą, porośniętą kępkami włosów twarz, wystraszone, rozbiegane oczy i okrągłe, bezwąse usta. Czarny słomkowy melonik i jasno bronzowa sutanna błyszczały, jak pociągnięte lakierem, a po tem, jak odrzucał swe szerokie rękawy poznać było, że nie przywykł jeszcze do niedawno przywdzianego kostjumu. Popadja wyglądała okazalej i pełniej od męża, była nieładna, lecz w uśmiechu odsłaniała cudne drobne ząbki i na policzkach tworzyły jej się dwa głębokie delikatne dołeczki. Nowożeńcy najwidoczniej nadskakiwali sobie nawzajem i przez cały czas jedli pomarańcze i pastę owocową.

Siedząc naprzeciw nich w pozie teatralnie-niedbałej porucznik zauważył, że popadję bawi podróż i że jest jej wesoło, popa zaś konfuduje jej weso-

łość i to, że nadskakuje mu nie jak duchownemu, lecz jak najzwyklejszemu mężowi. Potem porucznik zauważył, że kobieta jest ładnie zbudowana, ma pełne piersi i bardzo cienką talję, że ma maleńkie nóżki, obute zupełnie nie po podróżnemu w jedwabnych pończoszkach i czarnych, wyciętych pantofelkach. I pachniało od niej drogimi, modnymi perfumami.

Na stacji niespodziewanie zahamowano pociąg, popadja upuściła pomarańcz. Nagórski podniósł, podał jej i zadzwonił przytem krótko ostrogami. Ona uśmiechnęła się i odrazu jakoś przycichła, a pop otworzył swe okrągłe różowe usta, powiedział „Bóg zapłać" i wytarł twarz pstrą, jedwabną chustką. Potem oficer zaproponował duchownemu gazetę, a ten poczęstował go pastą owocową i po kilku minutach zawiązała się już rozmowa, z której wyjaśniło się między innymi, że popadja jest córką znanego protojereja, ukończyła gimnazjum i wychowywała się na sposób świecki; bywała w teatrach i tańczyła na wieczorkach. Mąż jej zaś jest towarzyszem jej lat dziecinnych i synem drugiego protojereja.

Młoda kobieta gawędziła z ożywieniem, śmiała się i z nieładnej stała się nagle niesłychanie interesującą i pikantną. Zauważywszy, że męża konfudują jej wspomnienia o balach, Nagórski spojrzał jej w oczy głębokim, litującym się wzrokiem i powiedział z współczuciem:

— Młodość pani uleciała bezpowrotnie, jak sen, zato teraz powinna pani dążyć do tego, aby podzielić z mężem jego wysokie przeznaczenie.

I ton jego głosu brzmiał tak, jak gdyby chciał powiedzieć: „biedactwo, rozumiem, że ci będzie bardzo, bardzo nudno". Popadja uśmiechnęła się z wdzięcznością, a pop chętnie rozgadał się na temat zatrąconego „wysokiego przeznaczenia" i przez cały czas z grzeczności dla rozmówcy usiłował przeprowadzić analogję, pomiędzy wojskiem prawosławnem, a duchowieństwem.

Nagórski słuchał, kiwał głową i ostrożnie, wybierając odpowiednie momenta, nie przestawał oglądać i rozbierać w myśli jego żony. Ta spuszczała oczy, pokazywała dołki na policzkach, poprawiała suknię, wysuwała to jedną, to drugą niebieską nóżkę i widać było, że pochlebia jej uwaga pięknego oficera. Pozatem czytała w jego oczach jakąś uboczną, śmiałą i niesłychanie intymną myśl, która ku jej zdziwieniu nie wywoływała w niej najmniejszego wstydu. Chciało jej się kokietować, i śmiać się głośno, jakby ciągle jeszcze była po dawnemu gimnazistką i jakiś porucznik zaprosił ją do kadryla.



W Lubani pop z żoną jedli obiad i pili piwo, a Nagórski, dając do zrozumienia, że nie chce ich krępować, umieścił się w pobliżu, zjadł krwisty bifstek i kazał sobie podać butelkę szampana.

Nalewając sobie ostatni kielich, porucznik spojrzał na popadję wymownym bezwstydnym wzrokiem, niedostrzegalnie przesłał jej ręką pozdrawiający gest i dopił wino duszkiem. Młoda kobieta zarumieniła się i odwróciła i porucznik uświadomił sobie w tej samej chwili jasno aż do śmieszności, że dziś jeszcze w nocy ta prościutka, nieładna, tydzień temu wydana zamąż popadja, jeśli tylko on zechce, będzie klęczeć u jego nóg i całować mu ręce. „Tak, tak“ -- mówił do siebie w myśli Nagórski — „i ona i inne, i każda kobieta, którą spotkam i pociągnę za sobą“. I na myśl o tem podniosły mu się wyzywająco ramiona, musnął wąsa, a w końcach palców rąk i nóg zbudziło się znajome przeciągłe i słodkie uczucie.

Gdy pociąg ruszył, porucznik nie wrócił do wagonu, lecz pozostał z papierosem na zamkniętej platformie. Platforma kołysała się i jakby usuwała się z pod nóg i cała pełna była jakiegoś niepojętego, różnorodnego ruchu, kiedy zaś oficer nie patrzył przez okno, zdawało mu się, że pociąg biegnie jednocześnie, i naprzód i wstecz i z tego powodu stawało się niewytłumaczenie wesoło, jakby ktoś łaskotał pod sercem. A stuk kół nieustannie przechodził w melodję ulubionego walca, przy której porucznik tak często tańczył tej zimy.

Dopaliwszy papierosa, Nagórski przypomniał sobie o tem, co oczekuje go za kilka godzin i chciał już wrócić do przedziału, gdym wtem skrzypnęły drzwi i ujrzał w nich popadję. Ramiona miała otulone białą włóczkową chustką utkaną z cienkich jedwabistych oczek, sama zaś pokazywała w uśmiechu cudowne zęby i delikatne dołeczki i spoglądała gdzieś wdół.

— Dobrodziej się zdrzemnął — powiedziała jakimś intymnym tonem, jakby nie zdziwiona bynajmniej tym, że widzi oficera na platformie.

— Zdrzemnął się? — mówi pani — zdrzemnął się? — pytał Nagórski z takim wyrazem, jakby słyszał słowa zupełnie dla siebie niezrozumiałe: — — Co znaczy „zdrzemnął się“ i o czyim dobrodzieju pani mówi? Czyż pani

jedzie z swym dobrodziejem? — cedził, jakby przekomarzając się, przez zęby, pobrzękując ostrogami i muskając wąsa.

I nucąc motyw tego samego ulubionego walca, kołyszącymi się, rozmarzonymi *pas* zbliżył się do młodej kobiety, lekko i powietrznie objął ją za talję i za jeden otułony w jedwabiste oczka łokieć i nie przestając kołysać się przed nią, mówił:

— Taka interesująca, młoda, takie dołeczki, takie prześliczne maleńkie nóżki i nagle gdzieś na zabitą prowincję, żoną popa, do jakichś krów, indyczek i kaczek!... Fu, co za nuda!... Pani młodość uleciała bezpowrotnie, jak sen — powtórzył powiedziane już raz zdanie: — niech się pani przyzna, nie bardzo chce się pani jechać na prowincję?

Puścił jej talję i łokieć i stał przed nią, muskając wąsa i poważnie, pytająco spoglądając jej w twarz.

— Czy to pana ciekawi? — spytała ona głosem zlekka kokieteryjnym, nie wiedząc sama, co odpowiedzieć i usiłując wytrzymać jego wzrok.

A wzrok ten z chłodnego stawał się bezwstydnie uporczywym i przenikliwym i rozpalała się w nim poprzednia śmiała i strasznie intymna myśl. Pociąg szedł z góry, przyśpieszając z każdą sekundą tempo swego zawrotnego walca i koła huczały, śpiesząc się dopowiedzieć wraz z oficerem jakąś zbyt otwartą, złą i miłosną tyradę. Słów nie było słychać, lecz z oczu, które przywarły prawie do samej twarzy kobiety, z poruszeń wymownych ponsowych i gorących warg pochwyciła ona coś niepowtarzalnie śmiałego i jednocześnie takiego, na co w żaden sposób nie można się było rozgniewać.

— Miła, wytworna, słodka, jak mi pani żal! Jak pani będzie nudno z tym bezsensownym człowiekiem, którego, jak na żarty, nazywają nawet „dobrodziejem"! Przecież pani wyszła za niego zamąż!... Przecież to pani miodowy miesiąc!... Od jednego pani pocałunku oszalałbym na cały tydzień... Niech się pani nie gniewa, to nie ja mówię, to stukają koła... A jaką pani ma czarującą nóżkę w czarnym pantofelku! Za rozkosz zdjęcia kiedyś jednej z tych błękitnych pończoszek poświęciłbym rok życia... I to wszystko należy do jakiegoś pół-człowieka z długimi włosami i w babskiej sukni zamiast surduta. Biedna, jak mi pani żal!..

Oczy popadji to śmiały się, to błyskały gniewnie, lecz porucznik nie pozwalał jej się opamiętać i mówił śpiewnym, rytmicznym i namiętnie przyśpieszonym głosem, nachylając się nad samą jej twarzą.

— Na miłość boską niech się pani uśmiechnie: pani taka piękna, gdy się pani uśmiecha. Jak ładnie huczą koła! Czy nie wydaje się pani, że pani śpi? Chce pani, umówmy się, że pani nic odemnie nie słyszała i nie będzie słyszeć? Niech się pani zgodzi... Oprócz mnie i pani ten sen nie przyśni się nikomu. I jeżeli się pani rozgniewa, ja rozgniewam się również, a jeśli się pani obrazi, udam, że wogóle nic nie mówiłem i że wszystko się pani przywidziało... Niech pani posłucha: pani nie kocha męża, nie kocha, nie kocha, pani z nim się nudzi i on nie jest tym, o którym pani marzyła, kiedy była pani jeszcze gimnazistką i tańczyła pani na wieczorkach?... Chce pani, pocałuję panią w tej chwili? Chce pani, czy pani nie chce?... Aha, pani udaje, że nic nie słyszy... Dobrze, niech pani udaje do końca, — będzie mi łatwiej mówić... Późno nocą przyjedzie pani do swej zapowietrzonej mieściny, kiedy ja będę spać w swym przedziale. Mam swój przedział, t. j. nie mam go jeszcze, ale będę go miał. Zresztą ja przecież nic nie powiedziałem... Pani mąż będzie strasznie mocno spał, nudny, potwornie nudny mąż — i pani kilka razy przejdzie obok moich drzwi. Będzie się pani wydawało, że to przypadkowo, że w wagonie niesłychanie duszno i że musi pani wyjść zaczerpnąć powietrza na platformę. Ale pani będzie tylko okłamywać samą siebie... I jeśli ja otworzę drzwi — pani wejdzie w te drzwi na chwilę, na jedną chwilę, która już nigdy się nie powtórzy, zresztą jej nawet wcale nie będzie, bo pani zobaczy ją we śnie. Chce pani, czy pani nie chce?... Ja nic nie powiedziałem: to huczą koła... Będę całował pani szyję i ramiona i obojgu nam zmąci się w głowie...

Pociąg zwolnił biegu, koła zadudniły bardziej urywanie i miękko i Nagórski kontynuował umyślnie-głośnym, grzecznym tonem:

— Czy pani podróżowała kiedy po Wołdze? Nie? A mnie teraz oczekuje właśnie droga do Saratowa. Jeżeli nie zmieni się pogoda, całymi dniami będę siedział na pokładzie i patrzał przez lornetkę. Pomiędzy Niżnim-Nowogrodem, a Samarą widoki są poprostu czarujące... Czy pani nie zmęczyła się staniem? Dlaczego pani zatula się w chustkę? Czy pani chłodno? W takim razie lepiej wrócić do wagonu... A propos, czy nie zbudził się już przypadkiem pani mąż?

I porucznik odstąpiwszy dwa kroki patrzył na nią otwartym i obojętnym wzrokiem.

Popadja wyswobodziła z pod chustki obie ręce, przycisnęła je do płonącej twarzy, potem dziwnie wstrząsneła ramionami, krzyknęła:

— Pan jest nędznikiem! — i szybko weszła do wagonu.

Dowiedziawszy się, że obok toalety znajduje się przedział służbowy przez nikogo nie zajęty, Nagórski poszeptał na jednej ze stacji z konduktorem i wsunął mu do ręki złotą monetę. W przeciągu pięciu minut rzeczy jego przeniesione już były na nowe miejsce. Mimo to aż do samej nocy porucznik pozostał w przedziele z duchownym i jego żoną.

Ostrożnie, jakby obawiając się kogoś obudzić, przycichły głosy, gdzieniegdzie podnoszono oparcia kanap, bielały poduszki i wszystko to zwiększało jeszcze podobieństwo wagonu do zacisznej ogólnej sypialni. Do toalety z ręcznikami i mydelniczkami w ręku chodziły kobiety i w przebłysku zaplecionych na noc warkoczy i rozpiętych matinek było coś intymnego, pieszczotliwego, przypominającego bezpowrotnie minione czasy, kiedy ludzie nie wstydzili się siebie nawzajem. Po dawnemu nie chciało się nikomu patrzeć przez okno i na długo jeszcze przed zapadnięciem zmierzchu spuszczono sztory. Okrągłe lampy z drżącymi płomykami gazu obrzucały kanapy niejasnem, nocnem światłem, a twarze mężczyzn i kobiet wydawały się naprzemian to uśmiechniętymi, to złymi.

Ukrywszy się w ciemnawy kąt przedziału, słuchając nieskończonej seminaryjnej przemowy popa, Nagórski milczał, uporczywie wpatrywał się w popadję i czekał. Młoda kobieta nie uśmiechała się, dziwnie wzdrygała ramionami i zatulała się w chustkę. Nareszcie pop rozpakował poduszki, a żona jego, wyjąwszy z maleńkiego sakwojażu mydelniczkę, proszek do zębów i flakon z wodą kolońską zawinęła to wszystko w ręcznik i wyszła do toalety. Wówczas porucznik, przeczekawszy dla przyzwoitości minutę, podniósł się i życząc duchownemu dobrej nocy prześlizgnął się do swego *coupé*. Tam pośpiesznie zasłonił lampę firanką, spuścił sztorę i odrazu zrobiło mu się wesoło i trochę strasznie, jak za dawnych czasów, gdy jeszcze był junkrem i przedsiębrał nocą niesłychanie ryzykowne wycieczki na schadzki z młodziutką francuską, służącą u dowódzcy szkoły w charakterze guwernantki. Rozsunąwszy do połowy drzwi patrzył z ciemności w wąski korytarzyk, śmiał się drobnym, wewnętrznym śmiechem i drżał przyjęty wesołym dreszczem chłopięcym.

Szczęknęła zasówka toalety, mignęła znajoma sylwetka popadji, lecz porucz-



nik nie zdążył nawet wyjrzeć, gdy zatrzasnęły się drugie drzwi i kobieta znikła, pozostawiając po sobie świeży, denerwujący zapach pudru, wody kolońskiej i wilgotnego ręcznika. I zapach ten dlaczegoś przypomniał mu cukiernię i znów, jak dzisiaj w pokoju z kandyzowanymi owocami, porucznik uwierzył w swą przezorność i odwagę, w młodą, zwierzęcą ostrość swych wrażeń i wydało mu się, że widzi na wylot przez ścianę.

Tam w dwuch krokach od jego przedziału, układając się do snu, kręci się pop, plącze się z nieprzyzwyczajenia w swych szerokich połach i przeszkadzających mu rękawach sutanny, a żona jego siedzi naprzeciw, patrzy na niego z męką i nudą i myśli o tem, że zmarnowała swą młodość. W uszach jej dźwięczą podstępne, jadowite słowa, podobne do muzyki walca, odpędza je od siebie i zaczyna jej się rzeczywiście wydawać, że w wagonie strasznie duszno i że nikt nie może jej zabronić wyjść odetchnąć na platformę. Stara się okłamać samą siebie i jednocześnie ze złą niecierpliwością obserwuje każdy ruch zasypiającego męża...

Stuknęły drzwi, w półciemnym korytarzu porucznik ujrzał delikatne, jedwabiste oczka chustki, otulone ramiona i łokcie i chłodną, naprężenie-poważną twarz. Stał na progu *coupé*, śmiał się, muskał wąsa i wspinając się na palcach nucił melodję ulubionego walca. W głosie jego słychać było nieukrywany tryumf .. Popadja wolno przeszła obok i ujęła za klamkę drzwi, prowadzących na platformę.

— Poco to udanie? — powiedział jej wślad porucznik: — wszystko jedno wrócicie do mnie, błękitne pończoszki!

Popadja odwróciła się i trzymając wciąż jeszcze za klamkę drzwi spoglądała na niego z pogardliwem wyczekiwaniem.

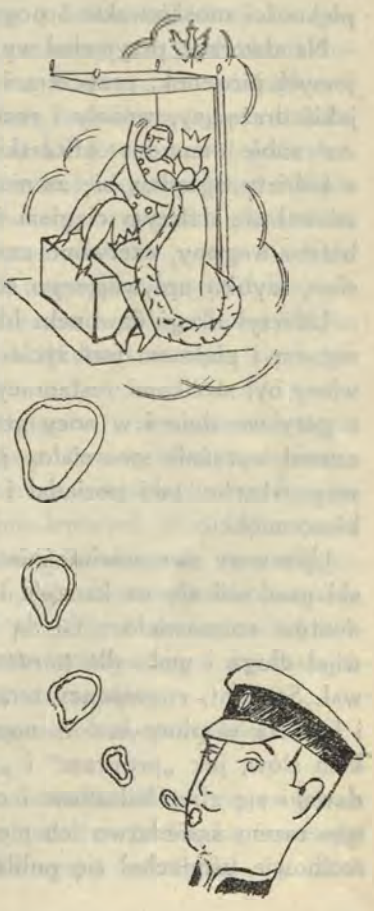
— Poco udawać i zwlekać? — powtórzył Nagórski: niech sobie pani wyobrazi, że wszystko to dzieje się we śnie.

— Cha-cha-cha! — nienaturalnie zaśmiała się ona i w śmiechu tym porucznik usłyszał sprzeciw i pokorę, wahanie dziewiczego wstydu i bezwstydną rozsądną ciekawość kobiety.

Szybko podszedł do popadji, objął ją za ramiona i brutalnie przyciągnął ku sobie.

— Jak pan śmie, jak pan śmie! — powtarzała popadja, przestępując wraz z oficerem ciemny próg przedziału.

III.



Pogoda nie zmieniała się. I w Moskwie świeciło złote, namiętne słońce, tworząc na Twerskiej i Kuznieckim Moście taki sam pstry karnawał cylindrów, parasolek i kapelusików, jak w Petersburgu na Newskim, a z kwieciarni, które mijał Nagórski, taksamo naiwnie i słodko pachniało konwaljami i bzem.

Pociąg do Niżnego-Nowogrodu odchodził późno wieczorem i cały dzień, defilując po ulicach, jedząc śniadanie i obiad w restauracji, porucznik odpędzał od siebie wspomnienia o popadji. I nieustannie zdawało mu się, że wspomnienia te przylegają do jego nieskazitelnie czystego munduru i pieszczotliwych rajtuzów, oblegających szczelnie srpężyste mięśnie nóg, a do tanecznego i dumnego jego chodu przybył jakiś nowy ruch, którym jakgdyby chciał coś z siebie zrzucić.

Z obrzydzeniem przypominał sobie, jak popadja klęczała przed nim i całowała mu ręce, jak nudne były te jej namiętne i dziękczynne pocałunki i jaką niełądną i zapłakaną miała twarz.

Tylko na myśl o tem, jak ostro kazał jej iść spać, porucznik uśmiechnął się z zadowoleniem i musnął wąsa.

Rozmyślał po dawnemu, że niema ani jednej kobiety, której nie mógłby wziąć szybko, pomysłowo i niesłychanie śmiało, lecz teraz po dwuch udałych próbach, przyszły łańcuch przygód jakby przybladł i porucznikowi chciało się już czegoś specjalnie ryzykownego i skomplikownego. I kilka razy przyszło mu do głowy, jak dobrze byłoby wyjechać z poselstwem gdzieś zagranicę i tam posiąść królową. Myśląc o królowej, spoglądał chłodno na napotykane piękności moskiewskie i pogardliwie muskał wąsa.

Na dworzec przyjechał wprost z varieté, gdzie pił szampana i słuchał znajomych piosenek, przyczem i jedno i drugie stopniowo nadało jego nastrojowi jakiś drażniący, wesoły i rozkochany w sobie odcień. Był szczęśliwy, że ma na sobie mundur oficerski, że mężczyźni pierwsi ustępują mu z drogi, a kobiety oglądają się za nim. Światła na dworcu, żywy strumieniący się tłum zdawał się dalszym ciągiem świateł i tłumu z varieté, a widoczne przez okna bufetu wagony, czerwone czapki posłańców, trzaskanie drzwi, tworzyły atmosferę szybko upływającego suu.

Uderzył drugi dzwonek. Idąc po peronie, porucznik myślał o tem, jak ponętnem i pięknem jest życie i jakby to było dobrze, gdyby cały świat zastawiony był stolikami restauracyjnymi i zapełniony kobietami i oficerami, a skądś z góry we dnie i w nocy grzmiała rumuńska orkiestra. I przez cały czas odczuwał wyraźnie swe ciało, żywił dlań tkliwe ubóstwienie, jak dla największego skarbu, jaki posiadał i kiedy wchodził do wagonu, kroki jego były kobieco-miękkie.

Ujrzawszy swe nowiuteńkie troki z błyszczącymi żółtemi rzemykami, Nagórski usadowił się na kanapie i natychmiast zlustrował sąsiadów. Dwóch studentów rozmawiało z młodą kobietą w złotem pince-nez, przyczem jeden rozwijał długą i mało dla porucznika zrozumiałą teorję, a drugi na nią replikował. Student, rozwijający teorję, siedział obok porucznika, zaś drugi student i kobieta w pince-nez — naprzeciw. Od ich podniecenia, gestykulacji i takich słów, jak „program“ i „platforma“ w maleńkim przedziale wagonu wydawało się zbyt hałaśliwie i ciasno. Pomimo, iż Nagórski nie lubił studentów, tym razem sąsiedztwo ich nie gniewało go ani trochę i przysłuchując się ich rozmowie uśmiechał się pobłażliwie, ziewał i przybierał leniwe pozy.

Młoda kobieta miała ciemne włosy, zaczesane starannie i okrągło i białą, matową twarz, a przez błyszczące szkła pince-nez widać było, że oczy jej pozbawioe są blasku i również jakieś matowe i suche. Kiedy zaś poprawiała binokle, porucznik zauważył obrączkę i ręka jej wydała mu się wypielęgnowaną i matową.

Efektowna fryzura, wypielęgnowane ręce, jedwabisty szelest sukni i subtelny zapach perfum, świadczyły o tem, że kobieta ta zajmuje się sobą i nawet pince-nez miało wygląd lekkiej, wytwornej ozdoby i bynajmniej nie szpeciło twarzy, naodwrót — nadawało jej pewien odcień kokieterji. I porucznik bardzo był zdziwiony, gdy z dalszej jej rozmowy ze studentami dowiedział się, że wykłada matematykę w gimnazjum. Dlatego, że początkowo mówili o konstytucji, potem zaś przeszli na literaturę współczesną, porucznika nagle opanowało znudzenie, a efektowna fryzura kobiety, szelest jedwabiu i to, że nie szpeci jej pince-nez, wydało mu się czemś nienaturalnem i drażniącem. Nagórskiemu chciało się parsknąć śmiechem, wypędzić studentów, a kobiecie nagadać stos lekkomyślnych bzdur i pomyślał, że w tem nie było by bynajmniej nic strasznego i że może uczynić wszystko, czego tylko zapragnie. Umyślnie jednak powstrzymał się do czasu i jakaś chytra i tajna myśl podpowiadziała mu, że lepiej poczekać, aż studenci zmęczą się i położą spać.

Porucznik czekał i wydało mu się czemś obrażającem, i niezrozumiałem, że kobieta w złotem pince-nez prześlizguje się po jego twarzy obojętnym wzrokiem; chwilami napadało go jakieś wdzięczenie się, lubowanie się samym sobą, zmuszające go do przybierania dekoracyjnie-leniwych póz, odrzucania głowy to wtył, to na bok, przeciągania się i stukania obcasami o podłogę. Stopniowo cały rausz ulotnił mu się z głowy i uparte, złe, warjackie pragnienie opanowało go z wściekłą siłą. I postanowił, że jeśli nie posiądzie tej kobiety, nie upokorzy jej i nie sprawi jej bólu, nie potarga tego starannego, okrągłego uczesania, — straci dla siebie wszelki szacunek.

Powziąwszy taką decyzję, porucznik odrazu się uspokoił, poweselał, uśmiechnął się łagodnie i musnął wąsa.

Około godziny drugiej w nocy, gdy studenci nareszcie ułożyli się na górze spać, a ich towarzyszka podróży wyciągnęła z pasków poduszkę i zaczęła szperać w maleńkim sakwojażu, pociąg zwolnił biegu i zatrzymał się. Stał

kilka minut i Nagórski, widząc, że młoda kobieta zastanawia się: kłaść się spać, czy nie, podniósł się, włożył czapkę i rzekł:

— Widocznie duża stacja. Jeśli pani rozkaże, polecę, aby przyniesiono pani herbaty?

— Dziękuję panu, niech pan się nie trudzi. Chcę się przejść sama. Tutaj tak duszno...

Wymówiła te słowa spokojnie i poprostu, lecz kiedy wstała i wyszła na światło, porucznik zauważył na jej twarzy niechętny grymas. Prócz tego w ruchu, jakim zarzuciła sobie na ramiona ciężką sukienną chustkę, czaiła się obojętność i niedostępność.

Niebo przed świtem było całe zaciągnięte potwornymi, szarymi chmurami i przypominało papier, na którym długo rozmazywano palcem atrament. Żółte światła peronu migały łzawo i sennie, na peronie panował jakiś samotny, nudny chłodek i nawet brzęk własnych ostróg wydał się Nagórskiemu dziwnie samotnym i nudnym. Lecz kiedy porucznik wypił w bufecie duży kieliszek koniaku, zrobiło mu się znów wesoło i myśli jego nagle nabrały ostrej — zakończoności i skrótów. I to, co miało nieuchronnie nastąpić, znów wydało mu się śmiesznie łatwe, zwykłe i bynajmniej nie straszne. Zachciało mu się pójść do kobiety w pince-nez, która nie zwracając na niego najmniejszej uwagi piła przy stoliku herbatę i w prostych, zwyczajnych słowach powiedzieć jej czego od niej chce. Lecz drocząc się z sobą samym i odwlekając tę chwilę, porucznik doczekał się dzwonka, pełnym uszanowania gestem ręki przepuścił damę przodem i w milczeniu udał się za nią powolnym, ociężałym krokiem.

— Niech pani nie idzie do wagonu — powiedział Nagórski głosem równym i ciężkim, wstępując na platformę za młodą kobietą.

— Dlaczego? — spytała zdziwiona.

— Dlatego, że głupio jest iść spać, kiedy można spędzić czas znacznie ciekawiej. Postójmy na platformie i porozmawiajmy. Pani jest rozumną, piękną i zdrową kobietą, ja również nie jestem głupi i brzydki, a przecież dalibóg niczego więcej nie trzeba, byśmy się razem nie nudzili.

Głos jego był dziwnie ociężały i spokojny i wydawało mu się po dawnemu, że niema takich słów, których nie ośmieliłby się wymówić. Rozkoszując się swą stanowczością i umyślnie oddalając decydującą chwilę, umieścił się na plat-

formie tak, aby zagrodzić kobiecie wejście do wagonu. I było mu przyjemnie, że światło lampy pada mu na twarz.

— Sądzę, — odpowiedziała uśmiechając się z przymusem kobieta, — że przedewszystkiem ludzie powinni się przynajmniej trochę nawzajem znać... inaczej, daruje pan, wychodzi jakoś zbyt po kawaleryjsku.

— Dlaczegóż koniecznie się znać, — odparł Nagórski: — i co ma z tem wspólnego kawalerja? I wreszcie czyż nie dość samych naszych zawodów: nauczycielki i oficera, aby każde z nas mogło opowiedzieć drugiemu połowę jego życia? Wszystko to — głupstwa i ważnem jest tylko jedno: czy podoba się pani moja twarz, kolor moich włosów i t. d. Jeśli tak, to pani pozostanie tutaj, jeśli zaś nie, to żadne etykiety nie uratują pani przed nudą i pójdzie pani spać.

— Wie pan co? — powiedziała przebiegle kobieta. — Jedno z dwojga: albo pan jest poszukiwaczem wesołych przygód w podróży, albo pragnie pan uchodzić za oryginała. W każdym razie pozwoli pan, że go zapytam: czego pan sobie właściwie odemnie życzy?

— Zupełnie tego samego czego i pani odemnie, — najspokojniej odpowiedział Nagórski. — Pani naprzykład bardzo mi się podoba i jestem pewien, że ja podobam się pani również. O cóż więc chodzi? Czyż wy, kobiety, myślicie o nas i o zbliżeniu z nami według jakiejś specjalnej recepty? Czyż co nocy, zatulając się w kołdrę, nie wyobrażacie sobie szczegółowo naszego ciała, a spotykając się z nami na ulicy, czyż nie oceniacie dokładnie naszego wzrostu, budowy, muskulatury i t. p.? E, dajmy spokój, pani jest mężatką i nie mnie panią uświadamiać. Z pewnością jeszcze gimnazistką, zwierzając się nawzajem przed przyjaciółkami, przestudjowała pani już pewne rzeczy... Cha-cha cha!... A to, że pani marszczy brwi i robi pogardliwy grymas, to tylko dlatego, że gorset i spódnica silniejsze są od pani logiki i całej pani wiedzy. Przesąd przytłacza panią, jak każdą tępą, cnotliwą żonę popa, czy tam aptekarza, niech je wszyscy djabli porwą! I są rzeczy, o których pokryjomu może pani myśleć po całych dniach, aż do wyczerpania, ale nie daj Boże zacząć o nich mówić głośno. A więc. właśnie niech pani słucha! Mojem zdaniem mądre, albo, jak się to tam u was mówi, emancypowane kobiety nie powinny się wstydzić swoich pragnień i mogą się oddawać lokajom i ordynansom swych mężów z taką samą łatwością, jak my, mężczyźni, bie-

rzemy pokojówki i niańki. Raz-dwa-trzy i dowidzenia. A jeśli podoba się pani pierwszy napotkany, to lepiej niech się pani odda temu pierwszemu napotkanemu, niż obłudnie odwracać oczy i jednocześnie wyobrażać sobie, jaki by on był piękny w pościeli.

Nagórski nie przestawał mówić w tych samych umyślnie-brutalnych wyrazach, starając się zagłuszyć żelazny łoskot kół i słowa jego, rozlegające się w zamkniętej przestrzeni platformy, wydawały mu się niezbicie rozsądne i proste. A w jaskrawym kontraście tych ciężkich, topornych słów i nieskazitelnie-białego kitla, wykwintnych manjer, dyskretnego brzęku ostróg — było dla samego Nagórskiego coś pociągającego, narkotyzującego, zmuszającego mimowoli do staczania się wdół po równi pochyłej. Oczy mu płonęły, spoglądał na młodą kobietę, jakby z wyżyny i sprawiało mu przyjemność, że walczy ona pomiędzy chęcią odejścia do wagonu, a ciekawością.

— Nie rozumiem zupełnie pańskiego podniecenia, — powiedziała przerywając mu. — Wypalił pan długi monolog, jakgdybyśmy przedtem Bóg wie jak długo rozmawiali na zupełnie określony temat. I zwracał się pan do jakiegoś niewidzialnego przeciwnika, ponieważ nie mogę chyba przyjąć wszystkich pańskich zachwycających sentencji na swój rachunek!

Patrzyła na porucznika przez błyszczące szkła binokli spokojnym, matowym wzrokiem, uśmiechając się niewymuszenie, i w fałdach jej ciemnej sukiennej chustki taiła się poprzednia niedostępność. Głos jej był po dawnemu spokojny, w ruchach czuć było spokojną godność i chłód, a nawet włosy uczesane idealnie okrągło rzucały na jej twarz jakiś chłodny i spokojny cień. Najwidoczniej oczekiwała repliki, lub odpowiedzi, lecz porucznik, zapomniawszy o swej przemowie, wpatrywał się w nią zbliska, kołysał się w talji, uśmiechał i muskał wąsa.

— A zatem, — powiedziała, robiąc gest w kierunku drzwi, prowadzących do wagonu, — pozwoli pan, że go jeszcze raz zapytam, czego pan właściwie sobie odemnie życzy?

— Cha-cha-cha! To mi się podoba! — wycedził Nagórski swym ulubionym tonem, jakby się przekomarzając i cedząc słowa przez zęby. — Czego sobie życzę? Miałem już zaszczyt objaśnić pani, czego sobie życzy każdy mężczyzna od pięknej kobiety i każda kobieta od pięknego mężczyzny. Oczywiście ciała. Ciała i pozatem absolutnie niczego więcej.

Zagradzając drogę do wagonu, porucznik śmiał się dziwnie krótkim, pogardliwym i bezlitosnym śmiechem i młodej kobiecie poczęło się nagle wydawać, że śmiech ten rozbiera ją od stóp, do głowy.



Platforma kołysała się i cała była pełna niepojętego ruchu i pociąg, jakby staczał się gdzieś w dół, a do samych szyb przylgnęło sine, powalane atramentem niebo. To niebo, ściśnięte z czterech stron powietrze platformy i nieznośny łoskot kół napełniły duszę kobiety, jakimś bezsensownie-słodkim koszmarem w którym nic nie przypominało życia, nie było ani strachu, ani wstydu, ani protestu. Nie wiedziała sama, co czynić, było jej jednocześnie i wesoło i strasznie, że twarz pochylona nad nią parą ciemnych i gorących warg nie wydaje jej się, ani wstrętną, ani płaską.

— Niech pan mnie puści, chcę iść spać — mówił za nią jakiś obcy, zbyt spokojny głos i próbowała przejść obok Nagórskiego do wagonu: — proszę mnie puścić! — powtarzała i w tej samej chwili uczuła się w jego objęciach.

W jednej chwili przypomniało jej się całe zamknięte, odosobnione, drugie życie, podobne do pokoju o zabitych deskami oknach i zamkniętych na klucz drzwiach, gdzie nie zaglądał dotąd ani jeden człowiek. Było tam śmiało, tajemniczo i swobodnie, a w ciemnościach przechadzał się goły, uśmiechnięty zwierz, pomysłowy i nienasycony. I jedna ona miała klucz od tych drzwi i z radością wchodziła w mrok, pozostawiając na progu odzież, a on z chciwym śmiechem brał ją na ręce, jak bezradne dziecko.

Tak, to *on*, ten śmiejący się oficer, to *jego* niesyty i chciwy śmiech, *jego* gorące wargi i władcze, nieubłagane ręce...

Nagórski widział, jak dziwnie opadła wtył jej twarz i poleciało gdzieś pince-nez i potem, całując jej usta, czuł wyraźnie, że głowa jej przywarła do żelaznej ścianki wagonu. I w tej żelaznej nieruchomości głowy, w zaczepionym o guzik munduru sznurku binokli i w tem, że ciężka sukienna chustka, opadająca z ramion nie może zsunąć się na podłogę, było coś zbyt materjalnego i poniżającego dla nich obojga. Było niewygodnie i trudno, ręce jej szczypały szyję porucznika, a żółte, dogasające światło lampy, mie-



szając się z atramentowym odblaskiem nieba tonęło w głębi oczu i padając na zastygły uśmiech czyniło go trupim i dzikim.

— Pogardzam panią, — powiedział Nagórski po chwili i brutalnie potargał jej włosy. — Niech pani odejdzie, pogardzam panią.

Kobieta konwulsyjnie zatuliła chustkę nad głową i jakby rzucając się w przepaść, runęła przez drzwiczki do wagonu.

IV.

Spał porucznik mocno i obudził się na pięć minut przed odjazdem do Nowogrodu. Ani studentów, ani kobiety w złotem pince nez nie było już i zanim doprowadzał do porządku swą garderobę i dopinał żółte lakierowane rzemyki troków, pociąg wjechał na stację. Na stacji Nagórski oglądał rozkład pociągów, posłał do siostry do Saratowa depeszę, potem siedział w bufecie i pił kawę. Następnie trzeba było spieszyć się na statek, a na statku zainstalować się w kajucie, umyć, przebrać i wszystko to nie pozwalało jakoś przypomnieć sobie o tem, co zaszło tej nocy.

Kiedy zaś Nagórski umyty, uperfumowany, w świeżym mundurze i wyczyszczonych rajtuzach wyszedł na pokład i ujrzał w oddali na wysokim, zielonym brzegu maleńkie wagony towarowe, postanowił, że o tem co zaszło w drodze nie warto myśleć wogóle. Nudno, brutalnie, prozaicznie i zresztą podobnie do dziesiątków innych przypadkowych i tylko na pierwszy rzut oka interesujących przygód. Dziś panna z cukierni, jutro żona dowódcy pułku, pojutrze pielęgniarka z Czerwonego Krzyża, a w przerwach aktorki farsowe, woltyżerki, gimnazistki z wyższych klas. Wszystko to w końcu przejadło się i chwilami nawet posiadanie królowej wydaje się rzeczą nieinteresującą.

Nad Wołgą i miastem wisiała wodnisto-biała, przepojona słońcem powłoka i powietrze było dlatego ciepłe i wilgotne, i dziwnie tonęły w niem dźwięki, a przystanie, łazienki, wysoki brzeg i żagle widoczne z oddali wyglądały leniwie i sennie. I kiedy Nagórski, przechadzając się po pokładzie obok

śnieżno-białej, minjaturowej barjerki, zatrzymał się u steru i głęboko zaczerpnął powietrza zdało mu się, że pachnie ono słońcem i wodą.

Śnieżno-biała barwa statku, pluszowe meble w salonie, ściany wykładane polerowaną brzozą korelską i lustrami, maleńkie pianino, długi stół z kandelabrami i różnokolorowymi kieliszkami, wszystko to dlaczegoś przypomniało porucznikowi to lekkomyślne życie restauracyjne, jakie prowadził zimą. Chciało się, by delikatny głos kobiecy zaśpiewał przy pianinie romans, a przytulne kąciki z półokrągłymi, nizkimi kanapkami zapełniły się wydekoltowanymi kobietami i panami w mundurach i frakach. I potem, gdy statek ruszył, przez cały dzień wydawało się porznikowi, że i on i inni pasażerowie, przechadzający się po pokładzie siedzący w salonie, wszyscy razem zaproszeni są na jakiś piknik.

Co dwie godziny porucznik zagryzał, jadł jesiotra i popijał szampanem i było mu niewytłumaczenie wesoło, jednak mimo to z przyzwyczajenia uśmiechał się pogardliwie, wzruszał ramionami i gdy zwracano się do niego z jakiemś zapytaniem, zgryźliwie cedził słowa przez zęby. I przechadzając się po pokładzie zwykłym tanecznym krokiem, rad był z tego, że pasażerowie pierwsi ustępują mu z drogi.

Późno nocą przybyli do Kazania, na drugi dzień wieczór — do Samary. A przez cały czas kołysała się nad Wołgą słoneczna, ciepła, wodnisto-biała powłoka. Statek płynął, jak olbrzymi łabędź, wzdrygał się i pluskał, a w powietrzu pachniało taksamo słońcem i wodą.

Wieczorem w przeddzień przyjazdu do Saratowa Nagórski siedział w kąciku salonu, naprzeciw młodej kobiety w luźnej, flanelowej sukni, przypominającej szlafrok, wpatrywał się uporczywie w delikatną, różową twarz o błękitnawych zmęczonych cieniach i mówił:

— Wszystkiego jakieś parę minut i wrócimy zpowrotem. Mąż pani nie zdąży dograć robra. Nie rozumiem zupełnie, co w tem nieprzyzwoitego, że zajdzie pani do mnie do kajuty, obejrzeć moje album. Przecież panią bardzo zaciekawiło moje album: ma pani doskonałą sposobność. Choć uprzedzam panią z góry, że niema tam ani jednej takiej anielskiej twarzyczki, jak pani.

Porucznik uśmiechał się wymownie, dzwonił ostrogami i muskał wąsa, a młoda kobieta udawała, że chmurzy brwi i pytała dziecinnie - kapryśnym głosikiem:

— A daje pan słowo, że nie będzie pan mówić głupstw, jak wczoraj?

— Jakich znów głupstw? Nic takiego sobie nie przypominam — niewinnie odpowiadał porucznik.

Fałdy flanelowej sukni, przypominającej szlafrok, nie mogły ukryć nienormalnej przesadnej pełności, a delikatna twarzyczka o zmęczonych, błękitnawych cieniach i cienkie przeguby rąk, wyglądajęce z szerokich rękawów, nadawały figurze kobiety jakiś bezradny i minjaturowy wygląd. I przez cały czas było jej męcząco wstyd swego wypukłego łona i kiedy wstając z miejsca, mimowoli odrzucała w tył głowę i ramiona, miało się wrażenie, jakby wiozła przed sobą taczki. Od chwili zaś poznania się z oficerem czytała w jego niebieskich, drwiących oczach ciągle tą samą otwartą, zawstydzającą myśl o łonie i nie wiązało to jakoś się z jego komplementami i przejmował ją lęk.

— No, cóż niech pani decyduje, — mówił porucznik, — inaczej obrażę się nie na żarty.

Pachniało od niego takimi dobrymi perfumami, głos jego był tak miękki i mundur tak wytwornie oblegał jego stan i ramiona, że lęk młodej kobiety na chwilę się rozprószył.

— Niech pan pamięta, — powiedziała wstając i pogroziła mu pałcem, — przystaję tylko na minutę, ani chwili dłużej.

Poszła przodem maleńka i delikatna i spoglądając na jej odrzcone wtył dziecinnie naiwne plecy i ciężką fryzurę upiętą z jasnego, silnie splecionego warkocza, porucznik pomyślał, że z pewnością będę skargi i pocałunki, zmieszane ze łzami, czego zupełnie nie znosił. Ale w tej chwili uspokoił się, przypomniawszy sobie, że statek odejdzie z Saratowa, kiedy młoda dama z mężem będą jeszcze spali.

I kroki jego stały się ociężałe i równe, a w końcach palców rąk i nóg zbudziło się niecierpliwe i słodkie uczucie...

Całą noc śniły się Nagórskiemu zapłakane twarze kobiece z błagalnymi anielskimi oczyma i strumienie łez utworzyły całe morze, w którem porucznik bał się zamaczać koniuszki swych wykwintnych lakierów. Morze to otoczyło go ze wszystkich stron i stał na jakiejś dziwnej, różowo-cielesnej, żywej i miękkiej wysepce, gniótł ją obcasami i ciągle usiłował uświadomić sobie na czem właściwie stoi. Domyśliwszy się, poczuł obrzydzenie pomieszane ze strachem i obudził się.

Do kajuty pukano, było jasno, statek nieruchomo stał w przystani, a za drzwiami słychać było czyjś strasznie znajomy i jednocześnie obcy głos kobiecy:

— Panie poruczniku! Przespał pan swój przyjazd, jak panu nie wstyd?

— Nieładnie, nieładnie! — wtórował mu nizki i również znajomy bas.

— Wybaczcie, w tej chwili jestem gotów, — krzyknął Nagórski zrywając się z pościeli i dlaczegoś zanim ubrał się i otworzył drzwi, wyciągnął z walizki wielkie pudło czekoladek.

Póki mył się, do drzwi po dawnemu niecierpliwie pukano, kiedy zaś nareszcie wyszedł na korytarz, zobaczył siostrę i jej męża. Siostra była cała w białem — w białym szalu i kapeluszu i suknia jej przypominała szlafrok.

— Pogratuluj, — powiedziała spostrzegłszy jego zdumienie, — zapomniałam ci jakoś o tem napisać.

Nagórski ujął ją pod ramię, ostrożnie poprowadził naprzód, za nimi postępował jej maż, leśniczy, z długimi siwymi bakami i w okrągłych czarnych okularach, niósł lekką jedwabną narzutkę, białą koronkową parasolkę i przywiezione przez porucznika pudło czekoladek i miał uszczęśliwiony, zakłopotany i ceremonjalny wyraz twarzy.

Z wysoko i groźnie podniesioną głową szedł przez przystań porucznik, ochraniając od potrąceń młodą kobietę i pokornie rozstępował się przed nim tłum.





Ty,
który błyszczeć na niebie,
jak guzik przyszyty do kołdry,
którą przykrywać się po nocy Allach
z swoją różową kochanką! —
W cienistych salach
mój pan mnie zamknąć
i przejścia wszystkie strażami zatkać.
Ja nie móc nigdzie pójść.
Ja być matka.
We wnętrzu mojem mieszkać już syn,
ja czuć, jak on we mnie róść,
jak rączki drobne wyciągać do ciebie,
gdy ty,
samotny,
jak gwóźdź
błyszczeć na niebie.

Wiem,
kiedy nocą spać mój zły effendi
i ciało moje pachnieć jakąś słodką maść,

ty wchodzić przez okno i na mnie się kłaść,
ja czuć na sobie twój najsłodszy ciężar
i twoje srebrne nasienie
przyjmować, drżąc z rozkoszy moje śpiewne biodra.
Ciebie ja pojąć za męża!
Przyjdź!
Ja być dla ciebie szczodra!
Piersi moje maleńkie, jak dwie popielniczki
Spodziewem pokarmu drżeć
i brzuch mój tęsknić —
rozkoszy nie dosyć.
Przyjdź!
Wargi moje prosić!
Czemu przychodzisz tak rzadko!
Ja chcieć cię pojmać w moją sieć,
A teraz
Ja być matka.

Dlaczego mnie nie chcesz wziąć?

Ciało moje musować, jak otwarty puhar,
któregoś uciekając w pośpiechu nie dopić.
Pójdź!
Chcę, byś usta w mych ustach utopić
i ssać,
kiedy ja leżeć w niemocy i we śnie.
To, co dziś we mnie róść,
być mi straszne i dziwnie słodkie jednocześnie.
Weź mnie!

Dlaczego mnie nie chcesz wziąć?

Może ty mieć gdzie ładniejsze kochanki?
Patrz:
rzęsy moje -- czarne, jedwabne firanki,
którymi my zasłonić dzień.

Noc mu się nie dać rozebrać
zawcześnie.
Widzisz?
Ja żebrać:
Weź mnie!

Po nocy ja czekać cię długo
na chłodnej pościeli sama,
aż przyjść ten jeden dzień.
Ja czuć,
że ja być mama.
Przestrach się o mnie otarł.
Ja poczuć serca dwa.
Duszno mi w cieniu kotar.
Na chłodnej posadzce ja leżeć,
jak łza,
w której się twarz twa, Panie, odbijać boleśnie
i wargi moje prosić:
Weź mnie!!

BRUNO JASIEŃSKI





FELIKS KOWARSKI AKT



O mężczyźnie wogóle.

Pismo tak wytworne, jak „Winnica“, poświęcone wyraźnie opiewaniu „niewinnic kobiecych“, nie powinno może zajmować się tematem równie ordynarnym i pospolitym, jak mężczyzna.

Pismo takie powinno składać się całe z walansjenek, ażurów, batystów, aplikacji, pudru, saszetek, rużu, perfum, podwiązek, aspiryny, kombinacji i kropli walerjanowych.

Czcionki do takiego pisma powinny być mereżkowane, interlinje ażurowane, a przerywniki z haftu Richelieu.

Pismo tego rodzaju zajmować się powinno mężczyzną, co najwyżej tak, jak par exemple p. Grabski zajmuje się puszczą Białowieską: jako materjałem eksploatacji.

W każdym innym wypadku wygląda to tak, jak gdyby w buduarze pięknej Pani próbował ktoś mówić o odkarmianiu rumuńskich opasów, lub chodowli byków andaluzyjskich.

Słowem — grubsza niewłaściwość.

Panią bowiem interesować może opas tylko na talerzu, jako „boeuf à la Stroganoff“ naprzykład, a walka byków o tyle, o ile kończy się śmiercią zakochanego w Pani toreadora.

Inaczej Pani tych rzeczy nie rozumie.

Jednakże — — —

Jednakże nie można przewidzieć, czy na drodze życiowej Pani, na drodze, która powinna być usiana różami, a wysłana adamaszkiem czy kaszmirem, nie wyrośnie jakiś cierń, kolec, oset, bodiak, czy chwast wulgarny, o który pani potknąć się może — — —

Bywa bowiem, że chwast taki niewinną kobietę do upadku może przywieść.

I dlatego to należy parę słów „ku przestrodze rodaczek" powiedzieć.

To też feljeton niniejszy — pierwszy z cyklu o potworach żerujących na niewinnej kobiecie — ma na celu mniej więcej to samo, co pożyteczna książeczka pod obiecującym tytułem: „co każda dziewczyna przed ślubem wiedzieć powinna".

Dlatego też, o matki szlachetne, abonujcie raczej dla córek waszych „WINNICĘ", zamiast pokazywać im „choroby weneryczne — dla młodzieży" w jakiemś podejrzanem kinie.

Co druga bowiem dziewica, z tych, którym podły los lub przedwczesna ciąża kazały iść zamąż, wie, że sznycle posypuje się tartą bułką — co trzecia, że tort migdałowy piecze się na wolnym ogniu, każda wie co robić, żeby nie mieć dzieci, ale żadna prawie nie wie, co to jest mężczyzna.

Znajomość mężczyzny u kobiety wychodzącej zamąż i wyposażonej przez matkę swą w odpowiednią ilość rad i wskazówek, czerpanych z własnego, bogatego doświadczenia, polega na określeniu, że każden mężczyzna, to ostatni łotr.

Jest to wszystko, co przeciętna mama może o mężczyźnie powiedzieć.

Określenie, może w założeniu swem słuszne, w rzeczywistości jednak mocno nieścisłe:

Każden mężczyzna bowiem, jest to łotr, jednak bynajmniej nie ostatni — jest ich przecież coraz więcej!! — —

Chociaż i to jest rzeczą względną: coraz więcej bowiem łotrów, a coraz mniej mężczyzn.

* * *

Po tym przedługim usprawiedliwieniu dlaczego to o mężczyźnie chcę pisać, przystąpić należałoby do samego jądra, t. j. do mężczyzny.

Otóż mężczyzna — osobnik płci odmiennej, przeważnie męskiej, wzrostu zwykle normalnego, czasami wyższy, lub niższy, ma to do siebie, że zawsze

się ma do niewinnej kobiety. Określenia „niewinna", używam w znaczeniu raczej symbolicznem, ma ono oznaczać, iż kobieta niewinna jest temu, że mężczyzna ją sobie upodobał.

Ale „wróćmy do naszych baranów", jak mawiają Francuzi. Otóż mężczyzna — ubrany przeważnie w marynarkę, zapinaną na guziki, niekiedy we frak modny, lub niemodny, niekiedy w smoking, żakiet lub pyjamę, zawsze w spodnie (słowo to oznacza część garderoby męskiej, którą mężczyzna przegrywa w karty, a ścigany kochanek pozostawia w pośpiechu na krześle, — wbrew fonetycznemu znaczeniu nosi się je na wierzchu) — bywa alby podły, albo zazdrosny, albo przystojny.

Bywa jeszcze czasami wstrętny, brutal, lub świnia, są to jednak określenia raczej pomocnicze, a w każdym razie ściśle intymnej natury. Niekiedy mężczyzna bywa i podły, i zazdrosny, i przystojny, i brutal, i wstrętny, i świnia równocześnie i wówczas ma niesłychane powodzenie u kobiet.

Mężczyźni bywają jeszcze łagodni i złośliwi.

Bóg, który pozwolił nam rozeznać psa złośliwego od łagodnego, dając złośliwemu czarne podniebienie i podbrzusze, poznaczył podobnie i mężczyznę.

Tak więc kobieta. chcąc wiedzieć, czy mężczyzna łagodnego jest usposobienia, zajrzeć mu musi do gardła. Mówi się o niej wtedy, że lezie wilkowi w paszczę.

Aby się jednak w mniemaniu swem upewnić, musi zbadać i resztę znaków charakterystycznych. Że jednak oględziny takie nie mogą się odbywać publicznie, decyduje się więc, chcąc niechcąc, na odwiedzenie męskiej garsonjery.

Tedy mężczyzna o podniebieniu różowem, jak *„selle de veaux avec salade"*, jeśli nie ma tylko sztucznej szczęki, jest łagodny jak potrawka z jagnięcia. Jeśli zaś i druga oznaka wskazuje na jego łagodność, wówczas rozumna kobieta decyduje, że ma przed sobą t. zw. d o b r o t l i w e g o i d j o t ę i kochankiem takiego nigdy mianować nie powinna, zamąż natomiast wyjdzie zań zawsze.

Jeśli zaś wszystkie oznaki wskazują na to, że mężczyzna do łagodnych baranków nie należy, wówczas na wyciąganie wniosków jest już zazwyczaj zapóźno.

Sądzę, że o „m ę ż c z y ź n i e w o g ó l e" napisałem już dosyć i że to, co

napisałem wystarczy jako pobieżne i najniezbędniejsze vademecum dla naszych dziewic.

Jak wygląda „mężczyzna wogóle“ wie z pewnością każda z czytelniczek dokładnie, zwalnia mnie to od szczegółowego przytaczania znamion charakterystycznych. Gdyby jednak któraś nie wiedziala — nie jestem temu winien. Niechaj zgłosi się do pierwszego z brzegu policjanta: są to ludzie uprzejmi, dobrze zbudowani i obowiązani do udzielania wszelkiego rodzaju informacji. Na feljeton mój powoływać się nawet w takim wypadku nie trzeba.

Sław.





LEON WYCZÓŁKOWSKI AKT





Z wysokości 15 metrów

Napisał

LUCIANO FOLGORE

NPR
GŁOS KOBIECY
GŁOS MĘSKI
GŁOS PIJAKA

Tuż za kurtyną — trzecie piętro fasady pałacu. Dwa okna ze storami oddzielone przestrzenią kilku metrów. Pod oknami gzyms, wystający na cztery palce. Z lewej strony prostopadła rynna. Okno z prawej strony ciemne o szczelnie zapuszczonej storze. Okno z lewej — oświetlone: przez podniesioną storę widać część pokoju.

Przy podniesieniu kurtyny elegancki młodzieniec w wizytowem ubraniu siedzi okrakiem na parapecie okna, patrząc z niepewnością w ciemny dół.

GŁOS KOBIECY: *(zdenerwowany)* Prędko! Już wchodzi!
NPR: *(przerażony)* Gzyms jest wąski, a znajduję się na wysokości trzech pięter.
GŁOS KOBIECY: Spiesz się! Zamykam.

NPR: *(zsuwa się na dziesięciocentymetrowy gzyms, na którym z trudnością może pomieścić. Pozycja młodego człowieka jest bardzo niewygodna. Dla większej pewności trzyma się rynny. Kobieta prędko spuszcza storę.*

GŁOS MĘSKI: *(raczej wesoły, z zewnątrz)* Dobranoc, dobranoc! Jeszcze nie śpisz?

GŁOS KOBIECY: *(słabo)* Było mi gorąco.

GŁOS MĘSKI: Co to dziś wieczór była za dyskusja! Uf! Ten pułkownik! Magri nie chce zrozumieć związku pomiędzy pojęciami przyczyny i czasu. (pauza) Rozbieram się.

GŁOS KOBIECY: *(przy oknie, do młodego człowieka)* Cicho, na miłość boską! Jest śpiący. Wytrzymaj jeszcze parę minut.

NPR: *(szeptem)* Usiłuję, pozycja jest trudna. *(porusza się, by się umieścić wygodniej).*

GŁOS PIJAKA: *(z ulicy)* Ach latarnio... latarnio!... Stój chwilkę spokojnie. Za bardzo się ruszasz.

GŁOS MĘSKI: *(z wewnątrz)* Jeżeli profesor nie przyzna mi racji, posprzeczamy się.

GŁOS PIJAKA: *(z ulicy)* Latarnio, stań na palcach, powiadam! Muszę zobaczyć co się tam dzieje wyżej.

NPR: *(z przerażeniem spogląda w dół)* Przeklęte wino! *(prędko odwraca się, jakby poczuł zawrót głowy)*

GŁOS MĘSKI: *(spokojny, jakby sporządzając inwentarz rzeczy i myśli)* But. *(chałas)* Wierzaj mi, matematyka...

GŁOS PIJAKA: Zapalam zapałkę.

GŁOS MĘSKI: Dwa buty... *(chałas)* ...I filozofja, to siostry.

GŁOS PIJAKA: Zapalam drugą zapałkę.

GŁOS MĘSKI: Spodnie... Bardziej niżby się zdawało...

GŁOS PIJAKA: *(zirytowany)* Zapalam trzecią zapałkę. Jakiś silny oddech dmucha z góry i gasi.

GŁOS MĘSKI: Koszula i krawatka... Dusza jest trójkątem odosobnionym.

GŁOS PIJAKA: Zapalam, u djabła, czwartą zapałkę.

GŁOS KOBIECY: *(z wewnątrz)* Wytrzymaj! Wytrzymaj! Jeszcze trochę!

NPR: *(słabo)* Może...

GŁOS MĘSKI: Kalesony... *(innym tonem)* Co ci jest tej nocy? Rozmawiasz z gwiazdami?

GŁOS KOBIECY: *(zmieszany)* Nie... gorąco mi... Taki upał...

GŁOS MĘSKI: Dobrze i ja pójdę do okna. Masz słuszność. Są konstelacje podobne do myśli ludzkiej.

GŁOS KOBIECY: Ależ, jesteś prawie nagi... Przeziębisz się...

GŁOS MĘSKI: Przesądy. Zarzucę na ramiona prześcieradło. Powietrze nocne jest zresztą wyjątkowo czyste i nadzwyczaj sprzyja algebraicznym kombinacjom naszych snów.

GŁOS PIJAKA: Już pięć zapałek. *(z uporem)* Ale ja ten cień strącę, strącę, strącę!

Mężczyzna podnosi storę i ukazuje się w bieli. Patrzy wprost przed siebie, nie widzi więc NPR-a, który puścił rynnę i wyczerpany opiera się o fasadę z twarzą zwróconą w noc, nogi wyciągnął wzdłuż gzymsu. Twarz młodzieńca jest spazmatycznie wykrzywiona, usta mu drżą, oczy ma zamknięte z obawy przed zawrotem głowy, ręce przylepione do muru dla utrzymania równowagi sztywnego ciała.

MĘŻCZYZNA PRZY OKNIE: Niedźwiedzica, różowa gwiazda, wielobok liljowych punktów.

GŁOS PIJAKA: Jeszcze jedna zapałka. Sześć. Człowieku, czy upiorze który tu dmuchasz!

MĘŻCZYZNA: *(do kobiety)* Co ci? Drżysz cała!

GŁOS KOBIECY: Nie wiem... dreszcze...

GŁOS MĘSKI: Chodźmy. Zamykam. *(zamyka okno i spuszcza storę)*

GŁOS PIJAKA: Siódma zapałka. *(z tryumfem)* No, nareszcie! Pali się! Palę tę nić, zniszczę całą!...

NPR: *nie jest już w stanie utrzymać się na gzymsie, rozpaczliwym wysiłkiem ślizga się wzdłuż ściany i straciwszy równowagę spada na ulicę. Łoskot.*

GŁOS PIJAKA: A co, nie mówiłem? Złośliwy aerolit.

przekład z włoskiego

M. JUDKIEWICZ

ŁABĘDŹ I LEDA

(SPROSTOWANIE)

O Łabędziu i Ledzie pewien dema-gogo
Napisał rzecz w „Winnicy" — zakończył ją srogo:

Oto z ptaka o kształtach Wenus Kallipygos
Bigos rozkazał zrobić tam kucharce, czy gos-

-podyni, która potem — o najsroższa z meger!
Zjeść go dała mężowi, ubranemu w „Jaeger".

Tak to kala poeta serc czysty sentyment
Z łabędzia czyniąc ludzkich żołądków aliment!...

Każdy rym w tej historji połyska, jak klejnot,
Nie braknie romantycznych i lirycznych w niej not.

Lecz koniec, tudzież morał tych dowcipnych skier set
Nieco mija się z prawdą — ja znam inny werset.

*

Z bijącem trwożnie sercem, w którem dźwięczał eter,
Wdział łabędź z piór jedwabnych śnieżnosrebrny sweater,

Poczem udał się dumny, że tak piękny ma *dress*,
W niedzielę popołudniu pod wskazany adres.

Zastał Ledę przybraną w cudny, zwiewny negliż.
— Nie oddasz go słowami, choć się w słowach bieglisz!

(Nie bluźnię ci poezjo, ni ci nie ubliżam,
Lecz wara twoim rymom od kobiecych pyjam!

Przed cudem, który oddać umie każdy żurnal,
Ty stajesz zlękła, niema — niczem dworski furnal!

O Muzo, ty wiesz, co to jest damska pyjama
Ale nie, jako Muza — jeno jako dama...)

Zadrżały słodkie uda krągłobiodrej Wenus,
Gdy ujrzała kochanka egzotyczny genus.

On zasię upadł do stóp najpiękniejszej z niewiast,
Przeczuwając w kraj tęsknot wymarzony w śnie wjazd —

Rzekł cicho, melodyjnym językiem łabędzim:
„O Ledo — jakżeż cudne dziś godziny spędzim!

Nic mi już męka cierpień, łzy i tysiąc klęsk nic —
Teraz jestem przy tobie — — — umierałem z tęsknic —

Teraz wiem — być przy tobie i pić twoją rozkosz
I być łabędziem — Ledo! — nie cudnie-ż nie bosko-ż?"

„Czy zdołasz mi rozewrzeć wszystkich szałów raje?"
Zapytała go Leda — „Szyję na to daję!.."

W miękkiem łożu łabędzia cudna, giętka szyja
Opieszcza ciało Ledy, opręża, owija,

Niezmęczona, jedwabna, najsłodsza i mocna,
Aże stało się — łabędź stracił głowę do cna!

Leda drżąca, wstrząsana cudownymi spazmy
Po najskrytszych komórek najtajniejsze plazmy,

Szepnęła wreszcie cicho; „Cudownie to czynisz,
Śnieżnopióry łabędziu — teraz czas na finish..."

On zmartwiał — znieruchomiał — i stał się, jak upiór
I zdrętwiał po obsadki srebrnośnieżnych stu piór.

„Ledo!“ — jęknął — „co myślisz?. Odrzekła mu Leda,
Co myślała. (To tutaj powiedzieć się nie da...)

„O nieba!“ — jęczał łabędź — „ja, który cię kocham?!
Każdy chłop to potrafi, każdy zdziała to cham!

Czyli jestem łabędziem, czy zwykłym kogutem?
(Tutaj Leda spojrzeniem zmierzyła go kutem)

Łabędziu, który skalasz łabędzią kulturę,
Nie Ledę — lecz po wieki do łona tul kurę!“

„Kultura?“ — rzekła Leda — „młody przyjacielu,
Tak — bardzo dobrze — może być — środkiem do celu —

Mniejsza o to — jak nazwiesz ten, czy tamten wyczyn —
Nie imam twych skrupułów, ani — może — przyczyn? —

Trudno — — — i znowu zwiewny narzuciła strój
Nucąc zcicha: „O żegnaj mi, łabędziu mój ..“

Zrozumiał ptak o kształtach Wenus Kallipygas
Pieśń, którą raz nad stawem zaśpiewał mu Dygas.

Pobladł. Wyszedł. Na schodach, skulony w opończy,
Spotkał małżonka Ledy. Pomyślał — „ten skończy...“

I nie bacząc w ulicach na wdzięki panienek
Wrócił z gorzkim uśmiechem w duszy do Łazienek.

Tam cierpiał przez noc całą okrutnie i łzawie
Aż nad ranem utopił się w rodzonym stawie.

Odśpiewawszy ostatnią z swych łabędzich kantyk.
I tak zginął ostatni miłosny romantyk...

*

Owóż tak nie inaczej skończył się ten kawał.
A sens? — Jest dużo prostszy, niżby się wydawał.

Każdy przyzna, że wina owej całej biedy
Jest zarówno po stronie łabędzia, jak Ledy.

Więc drogie czytelniczki, wyjdźmy teraz na łów —
W obronie moralności znajdziem pięć morałów.

Więc najpierw *morał pierwszy:* Bywa tak u wielu,
Że wszystko bez wyboru jest *środkiem do celu* ..

Morał drugi: Czasami tak się coś z czemś spotka —
Każdy środek do celu — jest *celem do środka.*

Morał trzeci: (wart, by go ktoś w marmurze odkuł)
W miłości złota droga jest *zawsze* w pośrodku.

Morał czwarty: Łabędziu, choć sto lat pożyjesz,
Nie uda ci się — *szyją muru nie przebijesz!*

Morał piąty — ostatni — przyzna Ledzie prefekt,
Bo nie chodzi o defekt, jedynie o efekt:

Jakkolwiek zawikłają się trójkątów matnie
Mąż zawsze, *siłą rzeczy. ma słowo ostatnie.*

*

A cel bajki: Z powodu powszechnej żałoby
Chciałem rzec, że nieprawdą jest tylko, jakoby...
— — — — — — — — — —

CHEVALIER DE FAUX-PAS

Na pograniczu teatru i filmu

WŁODZIMIERZ GAJDAROW DO CZYTELNICZEK „WINNICY“

Autobiografja najpiękniejszego bohatera ekranu

Gajdarow o swej karjerze teatralnej i filmowej — Apollo ekranu odtwórcą nowej poezji — Gajdarow-reżyser — Pierwsze filmy — Ostatni film dotychczas w Polsce nie wyświetlany — W jakim filmie wystąpi niezadługo? — Gajdarow o reżyserach, gwiazdach i aktorach filmowych — Obecne tourné — Gajdarow o Warszawie i Krakowie

Przytłumiony warkot motoru.

Przed hollem hotelu zatrzymuje się otwarte auto, z którego wysiadają dwie wysmukłe sylwetki: kobieca i męska. Po chwili drzwi wchodowe otwierają się i do oświetlonego hollu wchodzi wytworna kobieta w stroju podróżnym a za nią król ekranu w futrze automobilowem i popielatej sportowej czapce.

Hollem przechodzi szmer:

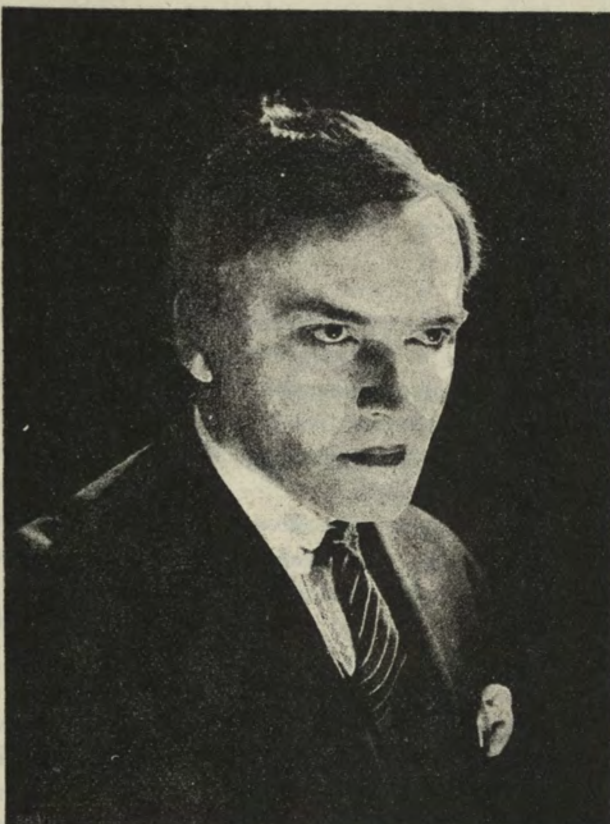
— Gajdarow!...

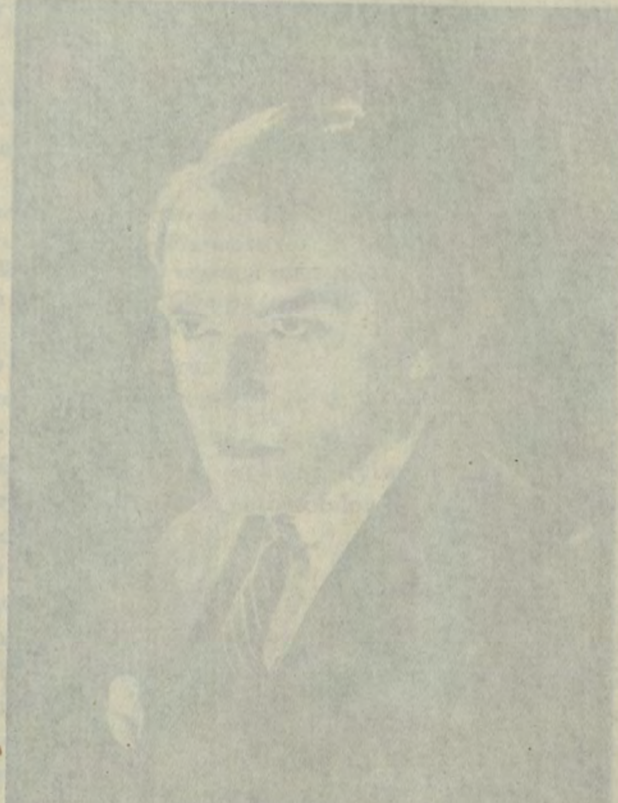
Jestem ciekaw zobaczyć go zbliska. Pierwsze wrażenie jest naogół dodatnie. Jest istotnie bardzo piękny, piękniejszy nawet może niż na filmie. Na filmie drażniła mnie zawsze pewna kobiecość jego rysów. Żywy Gajdarow jest piękny urodą niezmiernie męską. Wspaniale zarysowana sylwetka, na której osadzona jest jego nieskazitelnie piękna głowa dopełnia wrażenia.

Następuje ceremonia zapoznania.

Rozmawiamy po rosyjsku, chociaż jak przekonuję się zaraz na wstępie, p. Gzowska, którą znam jeszcze z Moskwy, ze sceny teatru Stanisławskiego, mówi dosyć płynnie po polsku.

— Wybaczy Pan, że nie proszę Go na górę — mówi Gajdarow głosem miłym i harmonijnym — jesteśmy bardzo wygłodzeni, nie jedliśmy jeszcze obiadu. Może zechce pan nam towarzyszyć?





— Z całą przyjemnością, w ten sposób rozmowa nasza będzie miała może charakter mniej oficjalny.

Przy stole konstatuję w dalszym ciągu, że p. Gzowska jest niezmiernie miła, gdy się uśmiecha. Nie przestaję obserwować jej małżonka. Twarz ma bardzo białą o miękkiej, matowej karnacji, a czarne, jak smoła włosy, zlekka kędzierzawe odcinają od niej miękką, łagodną falą. Harmonijne piękno i klasyczne proporcje tej twarzy stają się denerwujące. Łagodzi je spokojna, skupiona męskość całej postaci. Przypominam sobie, jak portjer hotelu skarżył mi się dziś rano, że setki kobiet obrywają mu od rana telefon z zapytaniami, czy u nich zatrzymał się p. Gajdarow. Mimowoli spoglądam na p. Olgę: jest czarująco miła i prosta i zdaje się tworzyć z swym małżonkiem parę niezmiernie harmonijną.

Zaczynamy mówić.

Rozmowa toczy się lekko, rozlewa i rozpryskuje na dziesiątki dygresji, uwag, potrąceń, aby po chwili znów spłynąć w jedno zasadnicze łożysko.

P. Gajdarow mówi chętnie, w dyskusji zapala się i rozmowa nasza z suchych, retorycznych pytań i odpowiedzi przechodzi niepostrzeżenie w swobodną pogawędkę o rzeczach wspólnie nas interesujących, przeplecioną haftem wspomnień i dat.

P. Gzowska uśmiecha się i odniechcenia podsuwa mężowi brakujące mu słowa, przypomina daty, zdania, wydarzenia, jest duchem ładu w naszej zbyt może pospiesznej i haotycznej rozmowie — tak mało jest czasu, a tyle rzeczy chciałoby się w niej poruszyć.

* * *

„Moja karjera aktorska zaczęła się właściwie przed niespełna dziesięciu laty w r. 1915. Z zawodu jestem naukowcem, filozofem. W r. 1915 ukończyłem uniwersytet Moskiewski pod kierunkiem profesorów Łopatina, Czełpanowa i Szpeta i otrzymałem propozycję pozostania przy uniwersytecie i habilitowania się. Gdyby nie moje spotkanie ze Stanisławskim, które okazało się opatrznościowem, może do dziś dnia zajmowałbym się spokojną pracą naukową. Do teatru ciągnął mnie oddawna cały szereg niepokojących problematów. Spotkanie ze Stanisławskim i pierwsze nasze rozmowy zadecydowały o mojej przyszłości teatralnej. Było to, pamiętam dokładnie, jesie-

nią roku 1915. Pierwszą rolą, jaką grałem, była rola w sztuce Dostojewskiego „Sioło Stiepanczikowo". Była to rola duża i odpowiedzialna. Kiedy powierzono mi ją, nie było mowy o tem, abym mógł ją grać. Byłem na to zbyt młodym jeszcze aktorem, kazano mi ją poprostu przerobić, grać zaś miał tę rolę pewien znany artysta Teatru Artystycznego, z którym na tym tle powstały nawet pewne kolizje. W rezultacie Stanisławski kazał tę rolę grać mnie. Odznaczenie takie na samym wstępie zachęciło mnie tylko i dodało bodźca do dalszej pracy. Od tej chwili było rzeczą rozstrzygniętą, że nie powrócę już nigdy do mej pracowni uniwersyteckiej Zaczęła się praca trudna i zarazem pociągająca pod kierownictwem Stanisławskiego: „Młodość" Andrejewa, „Kain" Byrona, „Car Teodor Joannowicz" Tołstoja i wiele innych, — oto dalsze etapy tej pracy.

„Stanisławski nauczył mnie jednego: wewnętrznego umotywowania gestu. Gest jakikolwiekbądź, nawet najbardziej dziwaczny i antyrealistyczny jest na miejscu o tyle, o ile umotywowany jest wewnętrzną koniecznością, która w inny sposób wyrażona być nie może. Aby dać nam wymowny przykład gestu nieumotywowanego Stanisławski wskazywał nam często na fotografje małomiasteczkowych i prowincjonalnych fotografów: państwo młodzi, kucharki, sierżanci, wszystko w dziwacznych, jakoby „malowniczych", pozach nieusprawiedliwionych żadną potrzebą wewnętrzną. Tym samym wzrokiem nauczyłem się patzzeć na próby w nowym teatrze rosyjskim. Znam tylko teatr Kameralny Tairowa. Widziałem w nim rzeczy bardzo piękne („Księżniczka Brambilla", „Jiroflé-Jirofla") obok rzeczy zupełnie sztucznych, rozczłonkowanych i nieudolnych. W teorji zgadzam się z Tairowem w zupełności, w praktyce większość jego wystaw działa mało przekonywująco. Wystarczy przypomnieć sobie taką „Fedrę" w reżyserji Tairowa. Z całego tego przedstawienia pozostał mi tylko obraz rozkraczonej Fedry, przypominającej starzejącą się damę w wieku balzakowskim, która nie jest w stanie patrzeć spokojnie na żadnego przesuwającego się przez scenę młodzieńca.

„Jestem natomiast wielkim wielbicielem nowej poezji. Uważam ją za koniecznoźż historyczną. Można nie uznawać następstw rewolucji rosyjskiej, czy niemieckiej, ale nie można nie przyznać, że są to jednak wielkie wydarzenia i wstrząsy dziejowe. Przyspieszony, konwulsyjny rytm życia współczesnego domaga się swej własnej poezji. Jednocześnie z pracą u Stanisław-

skiego pracowałem wiele nad wynalezieniem nowych środków ekspresji niezbędnych dla odtwarzania tej poezji. Większość z tych rzeczy staje się zupełnie niezrozumiałą jeśli je deklamować. Trzeba je śpiewać, skandować, odnajdować ich ukryte rytmy. Recytowałem Majakowskiego („Wojnę i pokój" i w. in.), Wasilja Kamienskiego („Stieńkę Razina"), nawet przebrzmiałego już dziś Siewierianina. W tym samym okresie zacząłem już grać po raz pierwszy dla filmu. Do r. 1920 brałem udział w około 17 filmach. Ponieważ jednak rosyjska produkcja filmowa stała naogół dość nizko i służyła wyłącznie do zaopatrywania własnych rynków zbytu, żaden z tych filmów nie dotarł zagranicę.

„W r. 1920 opuściliśmy Rosję, udając się do Berlina. W Berlinie mieliśmy początkowo swój teatr, gdzie wystawiałem między innymi „Salome" Wilde'a według własnej koncepcji reżyserskiej. Uderzyła mnie u Wilde'a pewna charakterystyczna symbolika drogich kamieni, która zajmuje w jego dziełach i notatach wiele miejsca. Czułem doskonale, że „Salome" wystawiona realistycznie stałaby się dziwolągiem. W ujęciu mojem cała „Salome" jak drogocenny chryzolit przetopiła się w zaczarowaną grę świateł i odcieni. Wystawiłem ją na tle czarnych aksamitnych kotar, starając się nadać scenie rozwiązanie dwuwymiarowe. Grę i ścieranie się różnych, wrogich sobie potęg symbolizowała gra świateł. Sama Salome w swej pierwotnej istocie ujętą została, jako lilja srebrna, Herodjada, pojęta jako jeden nieogarniony kobiecy organ rozrodczy roztaczała dokoła siebie światło ciemno purpurowe. Johanaan i miejsce jego uwięzienia utrzymane były w tonie liljowym. (Kostjum Johanaana z olbrzymią srebrną strzałą stylizowany był pod Berdsleya, który zdaniem mojem jest najlepszym równoważnikiem Wilde'a w malarstwie). Zmaganie się w samej Salome dwuch potęg wyobrażała gra świateł: liljowego światła Johanaana i czerwonego Herodjady, przyczem w momencie kulminacyjnym konflikt kończył się tryumfem purpury. Całe to przedstawienie było jedną wielką bachanalją świateł i batalją elektrotechników, z których jeden przez wadliwe włączenie prądu doznał nawet podczas premjery poważnych obrażeń. Niestety wskutek luk w materjale aktorskim, jakim rozporządzałem, nie udało mi się moich pierwotnych planów doprowadzić do końca. Po „Salome" wystawiałem jeszcze w tym samym zespole „Locandirę", którą stawialiśmy bez kurtyny.

„Jednocześnie zacząłem w Berlinie pracować dla filmu. Pierwszymi filmami niemieckimi, w których grałem były: *„Die Gezeichnete“* i *„Der brennende Acker“*, dalej ciesząca się największą popularnością „Hrabina Paryża“, następnie „Człowiek w żelaznej masce“ podług Dumasa, w roku zaś 1923 na największą miarę zakreślony i najlepszy z moich filmów „Upadek Troi“. Okres wykańczania tego filmu zbiegł się niestety z okresem inflancji w Niemczech, z okresem wprowadzenia złotej marki, i niebywałe przesilenie ekonomiczne odbiło się na nim ujemnie nie pozwalając doprowadzić do końca niektórych pierwotnych zamierzeń. Jednym z ostatnich moich filmów wyświetlanych w Polsce był „Złoty młodzieniec“. Ostatni mój film nie jest jeszcze znany publiczności polskiej. Tytuł jego jest „Mimowolny złoczyńca“. Odtwarzam w nim jednocześnie dwie role: hrabiego i jego sobowtóra apasza. Film ten pod względem niektórych tricków reżyserskich jest w ogólnej produkcji niemieckiej zjawiskiem dotychczas niespotykanem. Przez cały czas znajduję się na scenie jednocześnie w dwuch osobach, sam ściskam sobie rękę i t. p.

„Najbliższym projektowanym moim filmem, w którym wezmę udział natychmiast po powrocie z tego *tourné* będzie „Don Juan“, którego scenarjusz opracowują obecnie na podstawie licznych koncepcji Don Juana w literaturze europejskiej. Kto będzie go reżyserował — jeszcze nie wiadomo: najprawdopodobniej albo Murnau, którego uważam za jednego z najzdolniejszych reżyserów niemieckich, albo Berger. Jeśli chodzi o moje zdanie o niemieckich reżyserach wogóle, jakie wyrobiłem sobie w pracy pod ich kierownictwem, to za najbardziej utalentowanych uważam Manfreda Noa i już wspomnianego Murnaua. Pytał mi się pan kogo uważam za najbardziej utalentowanego z pośród aktorek i aktorów filmowych. Odpowiedzieć na to trudno. Z kobiet najbardziej podoba mi się Mary Pikford i rodaczka jej Mae Muray. Z mężczyn cenię bardzo Jannigsa i Wernera Krausa.

„W ogólności obecna produkcja filmowa niemiecka przechodzi, podobnie, jak i cały przemysł niemiecki okres ciężkiego kryzysu. Uważam jednak, że kultura niemiecka jest dość silną, aby przetrwać go i wyjść zeń zdrową. Wszyscy znajdujemy się w przeddzień nowego filmu. Jeśli mówi się o tem, że teatr europejski przechodzi kryzys, to niemniejszy kryzys daje się odczuć i w filmie. Jestem zdania, że odpowiedzi oczekiwać należy od nowych auto-

rów filmowych. Film niemiecki, jak zresztą i filmy innych krajów, czeka na swego autora.

„Narówni z filmem nie przestaję jednak pracować w teatrze i dla teatru, czego dokumentem jest obecne nasze *tourné*. Zapytał mnie pan na początku jaka z tych dwuch sztuk: teatr czy film, bardziej mnie zadawalnia i która z nich jest mi uczuciowo bliższa. Odpowiedź na to pytanie jest bardzo trudna, mogę jednak powiedzieć, że już choćby przez to, że teatr obsorbuje nasz głos, który film pozostawia poza nawiasem swego ekranu, jest on dla aktora terenem pełniejszego wypowiedzenia się niż film. Drugim czynnikiem który tłumaczy pewne uczuciowe nachylenie aktora ku teatrowi jest jego bezpośredni kontakt z widownią, oczywiście zależy również z jaką widownią. Widownia powojenna należy do mało wdzięcznych. Są jednak miasta o starej autonomicznej kulturze i tradycji, których widownia istotnie daje aktorowi bardzo silne zadowolenie. Grając dla filmu aktor ma przed sobą jedynie reżysera, kinooperatora i partnerów. T. zw. widownia jest tu czemś nieobliczalnem i nieprzewidzianem. Jeden i ten sam nasz film może być wyświetlany równie dobrze w ośrodkach europejskiej cywilizacji, jak i w podrzędnym kinie jakiejś mieściny sjamskiej. Skala ekspansji jest tu niewątpliwie znacznie szersza, ale dający bezpośrednie zadowolenie kontakt z widzem niezmiernie luźny.

„Obecne nasze *tourné* ma ze zadanie zapoznanie zagranicy z żywem słowem i żywą literaturą rosyjską tak starą, jak nową. Jeśli chodzi o rzeczy nowe, to odtwarzałem ich zagranicą dość dużo i z dużem powodzeniem. Między innymi czytałem niedawno w Pradze wspomnianego już „Stienkę Razina" Wasilja Kamieńskiego, którego więcej śpiewam, niż recytuję. Robiłem to wraz z chórem, który śpiewał z zamkniętami ustami i przy akompanjamencie bałałajek. Częto mówię również rzeczy Majakowskiego i „Dwunastu" Bloka. Pytał mnie pan jak reaguje na nasze wieczory publiczność niemiecka, nie rozumiejąca ani słowa po rosyjsku. Mogę odpowiedzieć jednem słowem: zdumiewająco. Początkowo próbowaliśmy urządzać dla widza niemieckiego rodzaj inscenizowanych prologów do naszych wieczorów w jego języku, do których jak do uwertury wplataliśmy leitmotivy naszego programu, wprowadzające widza niespostrzeżenie *in medias res* mowy rosyjskiej. Okazało się to zbytecznem. Krytyka w Monachjum i w Norymberdze, gdzie przyjmowano nas

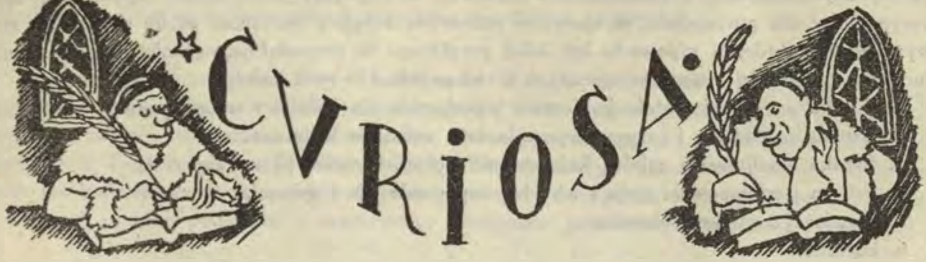
szczególnie serdecznie pisała, iż Niemcy rozumieją nas doskonale bez tego prologu. Istotnie, nierozumiejąca ani słowa widownia śmiała się i płakała wraz z nami. Tego samego doświadczyliśmy w Pradze. Pyta pan o wrażenie nasze, jakie wynieśliśmy z zetknięcia się z publicznością polską. Jeśli chodzi o Warszawę, to wypadło ono raczej ujemnie. W Warszawie uderzyły nas odrazu dwie rzeczy. Pierwsza: silny szowinizm lokalny i niechęć do rosyjskości, zupełnie w tem mieście zrozumiała, choć posunięta zbyt daleko w sferę artystyczną. Nawet w Niemczech, które cieszą się opinją kraju ultra-szowinistycznego nie spotkaliśmy się z taką niechęcią. Oprócz dwuch dzienników, które odezwały się o nas życzliwie, reszta prasy warszawskiej tendencyjnie nasze wieczory przemilczała. Druga: to brak fizjognomji widowni warszawskiej. Widownia warszawska jest widownią typowo powojenną. Pomimo, iż wiem, że znaczna jej część rozumiała nasz język, kontakt z nią przy rzeczach nieco głębszych był bardzo luźny. Natomiast wesoły wodewil oklaskiwano z całym zapałem. Znacznie bardziej podobał nam się naprzykład Kraków. Jak wszystkie miasta stare, jest to miasto o wyraźnej fizjognomji i tradycji kulturalnej. Widać, że musiało ono być niegdyś ośrodkiem kultury polskiej. Przypomina mi pod tym względem bardzo Monachjum.

„Dokąd pojedziemy z Polski? Narazie Kowno, Rewel, być może, iż zawrócimy do Paryża, potem z powrotem do Berlina, — nie można przecież zbyt długo sprzeniewierzać się filmowi."

* * *

Sekretarz p. Gajdarowa, który od kilku już minut załamywał rozpaczliwie ręce, wskazując nam dyskretnie na zegarek wmieszał się wreszcie do rozmowy, przekładając, iż jeśli natychmiast nie wyruszą, spóźnią się na przedstawienie. A szkoda, bo rozgadaliśmy się właśnie na dobre. Z prawdziwym żalem żegnałem się z Apollem ekranu i jego przemiłą małżonką.

— *f* —



Słynne bon-mot'y starożytności lub ludzi empire'u, czerpiemy już za młodu z podręczników szkolnych. Gdzież jest współczesny Herodot, czy bodaj współczesny Wasylewski, co utrwaliłby nam zacierające się i ginące bezpowrotnie bon-moty i aforyzmy naszych dni, te rozrzutnie rozsiewane przez każdą epokę perełki, w których wyraźniej może, niż w dziełach jej kronikarzy odbija się jej twarz jedyna i niepowtarzalna?...

* * *

W salonie Sary Bernhard toczyła się pewnego wieczora rozmowa na temat: jakim kobietom znanym nam z historji grono wykwintnych pań najbardziej zazdrości. Sara Bernhard miała podobno wówczas oświadczyć: „Zazdroszczę tylko trzem kobietom: Katarzynie Wielkiej — ilości kochanków, George Sand — jakości kochanków i Ninon de Lenclos tego, że potrafiła zatrzymać przy sobie kochanków aż do ośmdziesiątego roku życia".

* * *

Mógłbym przytoczyć jeszcze całą litanję nieporównanych anegdot niezastygłego jeszcze „wczoraj". Obawiam się jednak, że aforyzmy nie powleczone patyną kilku wieków nie uzyskały sobie jeszcze prawa książkowego obywatelstwa. Dlatego przerzućmy się raczej do starożytności najbardziej zamierzchłej. Może wśród dziewiczych puszcz starożytnej Indji nie dosięgnie nas przynajmniej wszechwładna dłoń Pani Pruderji.

* * *

Przeciętny europejczyk dzisiejszy posiadający elementarne wykształcenie i stanowisko towarzyskie lubi mówić o sztuce i temat ten zalicza sie nawet do tematów szlachetnych i mile widzianych. Rozróżnia on zazwyczaj 9 muz, wie przytem, że X muzą, towarzysko jeszcze nie adoptowaną, jest kino, XI zaś t. zw. muza podkasana, o której w salonie mówić nie należy.

Przykład ten świadczy o niesłychanem ubóstwie artystycznej skali naszej epoki. Wystarczy przypomnieć dla porównania, iż klasyczni autorowie indyjscy rozróżniali aż 64 rodzaje (!) sztuk wyzwolonych, których z powodu ich ilości przytaczać tu niepodobna, ograniczymy się do przytoczenia najbardziej charakterystycznych i ciekawych. Do nich należały:

1. Sztuka wyrabiania łóżek, kobierców i poduszek dla miłości i wypoczynku.
2. Sztuka zaściełania i przygotowywania łoża usłanego kwiatami.
3. Sztuka emaljowania zębów, kolorowania ubrań, włosów, paznokci i ciała.
4. Sztuka perfumowania ciała i włosów, zaplatania ich i upinania.
5. krawieczyzna i krój ubiorów.
6. kuchnia.
7. przyrządzanie wonnych napoi kwaskowych, sorbetów, ekstraktów likierowych, oraz spirytusowych, miłych dla smaku i wzroku, i wiele innych.

* * *

Każdemu wiadomo jaką bogatą kulturą miłości odznaczał się ten naród nieuleczalnych erotomanów. U autorów indyjskich pełno o niej wzmianek i recept. Jeden z nich mniemał nawet w swej śmiesznej bogoburczej pysze, iż zdoła poklasyfikować miłość i zamknąć ją w szeregu formuł i prawideł.

Oto kilka rad dla kochanków, jakie znajdujemy u Bhartriharti:

* * *

„Poleca się przy pierwszych spotkaniach nie nadużywać, uścisków i innych akcesorjów złączenia seksualnego.

Całuje się czoło, oczy, policzki, wargi i wewnętrzną stronę ust.

Mieszkańcy wschodu całują także kobiety w złączenia ud, w ramię i w pępek.

Z młodą dziewczyną są trzy rodzaje pocałunków: nominalny, poruszający i wzruszający.

Nominalny: prosty pocałunek w usta przez zetknięcie warg obojga kochanków.

Poruszający: dziewczyna ściska swymi wargami dolną wargę swego kochanka, bierze ją w swe usta i wsysa.

Wzruszający: dziewczyna dotyka językiem warg kochanka, zamykając oczy i kładąc swe dłonie w jego.

Inni rozróżniają jeszcze cztery gatunki pocałunków: prosty, nachylony, odwrócony i wyciśnięty.

Jeżeli w pocałunku jedno z kochanków dotyka językiem zębów i podniebienia drugiego, to ta forma pocałunku nosi nazwę „walki języków".

Ślady paznokci wyciska się zazwyczaj na gardle, piersiach, wargach, pod pachami i na udach.

Mężczyzna noszący na sobie ślady paznokci i zębów ma powodzenie u kobiet, nawet u tych, które są miłości oporne."

* * *

Nasza wszechwładna opinja uważałaby z pewnością ten ostatni objaw za perwersję, mówienie zaś o nim głośno za pornografję. Słowa pornografja używamy wogóle niezmiernie często i chętnie określając niem najróżnorodniejsze zjawiska. Nie od rzeczy będzie może przy-

pomnieć pierwotną treść jaką wkładano w ten piękny wyraz, zanim stał się on liczmanem w niestrudzonych rękach domorosłych krytyków moralności współczesnej.

* * *

Pornografami nazywali Grecy malarzy, u których portretowały się wybitne hetery. Najgłośniejsi artyści zajmowali się tą „pornografją". Nie brakło również specjalistów, wśród których na miejscu naczelnem wymienia się: Aristeidesa, Pauzanjasa, Nikofanesa. Zwłaszcza Aristeides z Teb, żyjący w IV wieku przed Chr., o którego obrazy dobijali się królowie, płacąc mu bajeczne honorarja, zasłynął jako portrecista wszystkich tych wdzięcznych osóbek, co w owych czasach podbojów i zawieruchy, niezłomnie przechowywały grecką radość życia.

* * *

Mroczne wirydarze średniowiecza może bardziej niż jakakolwiek inna epoka obfitują w te dziwaczne kwiaty o kształtach kobiecych, klejnoty czarne dziwacznego zielnika.

* * *

Joanna Herviller, rodem z Verbery, niedaleko Compiègne w czasie procesu swej matki, oskarżonej o czarnoksięstwo (spalono ją żywcem z polecenia parlamentu), zeznała: Będącą w wieku lat dwunastu przedstawiła ją matka djabłu. Miał on kształt wysokiego, czarnego mężczyzny czarno ubranego, w butach, przy ostrogach, z mieczem u boku. Koń, również czarny, stał przy bramie. Matka, zwracając się do djabła, powiedziała: „Oto moja córka, którą ci obiecałam", a do niej: „Oto twój luby, który cię uczyni szczęśliwą". Musiała się wtedy Joanna wyrzec Boga i religji a djabeł spał z nią zupełnie tak jak mężczyzna z kobietą, kromia tego, że nasienie było zimne. Powtarzało się to regularnie co dwa tygodnie. Djabeł przychodził nawet wówczas, kiedy Joanna była przy swym mężu, który nigdy nic nie zauważył. Raz zapytał ją djabeł, czy chciałaby mieć z nim dziecko, ale ona nie chciała...

(Jean Bodin, *Démonomanie)*.

* * *

Pewna dziewczyna publiczna miała raz w nocy sprawę z djabłem, który do niej podszedł w ludzkiej postaci. Nazajutrz coś jej tak gwałtownie brzuch wzdęło, że biedna domniemała się być ciężarną. Tymczasem, popadła w dziwną chorobę, na którą nie było lekarstwa. Wyszły z niej wszystkie wnętrzności i umarła.

(Ruoffe, *Concéption et génération humaine)*.

* * *

Jakób Sprenger, któremu papież Innocenty VIII nakazał prowadzenie procesów o czary w Niemczech, opowiada, że często zdarzało mu się widzieć czarownice leżące na ziemi gołym brzuchem do góry, poruszające całem ciałem, jak te, co się oddają tej brudnej czynności. Odbierały one wówczas rozkosz od demonów inkubów, których one widzą, mimo że inni widzieć ich nie mogą. Obecni dostrzegają tylko po ukończeniu sprawy śmierdzący i brudny tuman, jak podnosi się z nad czarownicy na wysokość człowieka. Mężowie, którzy tam byli, widząc swe żony splugawione, sądzili iż w istocie mają przed sobą człowieka: imali się mieczów, ale gdy demony znikły, wystawiali się jeno na szyderstwo i naśmieszki niewiast.

* * *

Franciszek Pico della Mirandola, słynny humanista włoski, znał niejakiego Benedetta Berna, człowieka siedmdziesięcioletniego, który przez czterdzieści lat żył ze sukubem. Demona tego nazywał Hermeliną i wszędzie z nią chodził. Inni widzić go nie mogli, więc kiedy z nią rozmawiał, wyglądało, jakby do siebie gadał. Uważano go za warjata.

* * *

A djabły wszystko to czynią, kończy jeden z ówczesnych uczonych, nie szukając rozkoszy, albowiem, jako duchy, nie mogą odczuwać żadnej przyjemności w zetknięciu z rzeczami materjalnymi. Czynią to jeno w tym celu, aby wciągnąć człowieka w przepaść, w której sami się znajdują, a która jest potępieniem u Boga wszechmiłosiernego i wszechmocnego.

Okładkę 2-go numeru projektował Feliks Krassowski.

Redaktor naczelny: BRUNO JASIEŃSKI

REDAKCJA: Warszawa, Moniuszki 4, m. 20. Telefon 144-74 od godz. 18—19.
Kraków, Czarnowiejska 1, parter.
Lwów, Zimorowicza 5. Telefon 13-13.
CENTRALNA ADMINISTRACJA: Lwów, Zimorowicza 5. Telefon 13-13.
ADMINISTRACJA w Warszawie: Księgarnia G. Szylinga, ul. Szpitalna 10, tel. 259-69.
KONTO CZEKOWE W P. K. O.: Tow. Wyd. „Ateneum“ Nr. 152.683.


LIQUEURS
MAISON FONDÉE EN
1782
J. A. BACZEWSKI
LWÓW